

emeryturę
ziadły
szczury **4**

cygańskie
drogi **5**

wpuścić do
serca głos
zagrobowy **11**

komu dać
w trąby **12**

olimpiada
nadziei **14**

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

11

(87)

KONTAKTY
13 VI 1982
Cena 12 zł



Fot. GABOR LÖRINCZY

wąchanie szpanu

DANUTA WRONISZEWSKA

STR. 6—7

starcia

Klub Dyskusyjny

• **Kontaktów** •

tolerancja

DYSKUSJA ODBYŁA SIĘ
W LISTOPADZIE 1981 R.

Tolerancja to uznanie cudzych poglądów, wierzeń, zwyczajów, gustów lub upodobań odmiennych od własnych. Inaczej — wyrozumiałość. Tak ujmuję hasło kolejnej panelowej dyskusji, zorganizowanej przez „Starcia” — Klub Dyskusyjny „Kontaktów” i Wojewódzką Ośrodek Kształcenia Ideologicznego, encyklopedyczna definicja. Uczestników panelu: red. Klemensa Krzyżagórskiego, prof. Stanisława Ehrlicha, prof. Henryka Jankowskiego, red. Zbigniewa Siedleckiego oraz licznych przedstawicieli środowiska łomżyńskiego nie interesowały jednak uczono-abstrakcyjne rozważania. Wyznacznikami ich refleksji stały się bowiem nurtujące każdego dziś pytania: jak jawi się tolerancja w praktyce społecznej; gdzie kończą się jej granice i kto je wyznacza; jakie są relacje między tolerancją a demokracją. Stąd plan dyskusji, który dziś prezentujemy, jest zapisem autentycznych problemów dnia obecnego, w którym często tak wiele jeszcze miejsca na wzajemną tolerancję...

STANISŁAW EHRLICH: — Do prawdy znamienne to zbieg okoliczności, iż dyskusja o tolerancji odbywa się pod egidą pisma partyjnego. I nie jest to chyba przypadek. Przecież temat ten wracał, począwszy od Października, przy każdym kolejnym przełomie. W okresach je przedzielających tolerancja była bowiem zjawiskiem w partii raczej deficytowym. W ostatnim dziesięcio-

CIĄG DALSZY NA STR. 8—9

W następnym numerze: ● „Bicz gminy Klukowo” ● „Duńsko-polskie si współpracownicy o Gomulce” ● Lysych ● Horoskop z drzewa.

KONCOWYM AKCENTEM TEGO-ROCNZYCH MATUR było spotkanie najlepszych absolwentów szkół ponadpodstawowych z przedstawicielami władz politycznych i administracyjnych województwa. Gratulując 21 prymusom świetnych wyników w nauce i pracy społecznej I sekretarz KW PZPR, tow. Włodzimierz Michaluk, powiedział między innymi: „Pracowitość i wiedza stać się muszą wartościami najwyższymi; one też zasługują na najwyższe uznanie. Młodość nie obawia się przeszkód i w tym tkwi optymizm na przyszłość Polski”.

A oto plany i krótkie refleksje tegorocznych „primes inter pares”:
Ewa Andermann, LM Łomża, średnia z egzaminów maturalnych 4,2; zamierza studiować medycynę na AM w Białymstoku: — „Niesienie pomocy innym uważam za największy obowiązek”.

Mirosław Reczko, LO Ciechanowiec, średnia 4,37; wybiera się na Akademię Teologii Katolickiej w Warszawie: — „Niestety, swą przyszłość po dyplomie widzę raczej czarno. Mój kolega, magister, rozwozi w Ciechanowcu mleko”.

Jolanta Rakowska, LO Łomża, średnia 4,2; chce być prawnikiem, będzie zdawać na UW: — „Po grudniu przeżyłam szok — nagle wydało mi się, że wszystkie moje życiowe plany wzięły w łeb. Spokojnie jednak mogłabym przystąpić do matury, przynębienie minęło, chce się uczyć. Przeraża mnie jednak informacja, że zamierza się zamknąć kilka uczelni filialnych, a tym samym drogę do wiedzy wielu moim rówieśnikom”.

Leszek Petrykowski, LO Ciechanowiec, średnia 4,2; będzie starał się zdobyć indeks na matematykę: — „Za sytuację w kraju odpowiedzialność ponosimy wszyscy. Jeśli będę potrzebny po studiach wrócę do rodzinnego miasta”.

OBRADOWAŁ SEKRETARIAT KW PZPR W ŁOMŻY. Zapoznał się z informacją na temat upowszechniania postępu rolniczego przez WOPR w Szeplietowie w roku ubiegłym, wynikami pracy Rejonowego Ośrodka Pracy Partyjnej w Wysockim Mazowieckim, a także dokonał oceny działalności Komitetu Gminnego w Nowych Piekutach.

OKOŁO 4 MILIARDÓW ZŁOTYCH wyniosła świadczona wynikające z Karty Kombatanta. Mówił o tym prezes Zarządu Głównego ZBoWiD, Włodzimierz Sokorski, pod-

czas narady prezesów kół terenowych i opiekunów kół, zorganizowanej w Łomży. Na temat karty kombatantkiej Włodzimierz Sokorski powiedział także: „Za sprawą grupy posłów zbawidowskich na czele z prezesem Rady Naczelnej, Mieczysławem Moczarem, grupa 40 posłów do Sejmu, wniosła projekt ustawy, która w dniu 23 maja br. została uchwalona przez Sejm PRL. Ze względu na trudną sytuację finansową, ustawa wchodzi dopiero od 1.01.83 r., a nie jak poprzednio ogłoszono, od 1 lipca br. Bolesną sprawą jest to, że ustawa o uprawnieniach kombatantek nie będzie obejmowała członków podopiecznych. Ta sprawa, jak wynika z ustaleń, będzie mogła być wzięta pod uwagę, kiedy nasza gospodarka państwowa ulegnie poprawie. Ustawa ponadto nie obejmuje wszystkich kombatantów, jeśli chodzi o niższe koleje i autobusy. Zniżki na przejazdy PKP i PKS dotyczą tylko emerytów i rencistów”.

Na naradzie omówiono przygotowania do IV Złotu Kombatantów, jaki ma się odbyć we wrześniu — w rocznicę wyzwolenia Łomży.

GOSCIŁI W ŁOMŻY: kierownik Wydziału Społeczno-Zawodowego KC PZPR, Stanisław Gabrielski, który wziął udział w Plenum KW poświęconym młodzieży; kabaret z Olstyna „Piwnica literacka” z Piotrem Kuncewiczem (po występie w Łomży ruszył ze swoją „bezcą śmiechu” w województwo); 24 omiatał-gów z RFN. Wkrótce przybędzie przewodniczący Tymczasowego Zarządu Głównego SD PRL, Klemens Krzyżagórski.

pytanie drażliwe

— Łomżyńskie przychodnie zdrowia kończą przyjmowanie pacjentów o 15.00; pogotowie ratunkowe przyjmuje ich zgłoszenia od 18.00. Czy oznacza to, że przez trzy godziny jedynym sposobem usmieszenia bólu są mocno zaciśnięte zęby i stoicyzm oczekiwania na pomoc?

Odpowiada dyrektor Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej, Konstanty Znosko:

— Po południu pomocy medycznej udzielają trzy poradnie: ogólna, czynna do godziny 20.00; stomatologiczna (obydwie przy ulicy Armii Czerwonej) oraz dziecięca (przy ulicy Turlejskiej), czynna do 17.00. Pracuje także pogotowie, które jeździ jednak do ostrych zachorowań i nagłych wypadków. W pozostałych sytuacjach należy zgłaszać się osobiście w przychodnię lub zamawiać wizyty domowe lekarza rejonowego.

personalia

Komitet Wojewódzki w Łomży, na wniosek egzekutywy, zatwierdził na stanowiska kierowników wydziałów: Administracyjnego — Kazimierza Kryszpina; Ogólnego — Stanisława Walaska.

★

Na stanowisko sekretarza Miejskiego Komitetu ZSL w Łomży wybrany został Zbigniew Supron.

★

Funkcję etatowego prezesa Gminnego Komitetu ZSL w Grabowie objął Tadeusz Kownacki.

wolny rynek

W ubiegły piątek na łomżyńskim targowisku płacono za: litr śmietany — 220—250 złotych; parę jaj — 16 złotych; kilogram ogórków — 120 złotych; pomidorów — 250 złotych; cebuli dymki — 80 złotych; fasoli „piechotki” — 100 złotych. Flance pomidorów można było nabyć za 5, a seleru i kapusty włoskiej za 2 złote sztuka. Szeroki wybór sadzonek kwiatów oferowano w cenie od 25 (najdroższe — petunie) do 5 (najtańsze — „zenichy”), a doniczek od 30 do 700 złotych za sztukę. Szły jak woda ziemniaki, których cena podskoczyła do 9 złotych za kilogram. Za parę prosiat żądano 2.000—4.000 złotych; kwintal żyta kosztował 2.500—2.800, owsa — 3.000, pszenicy — 4.000, a gryki — 3.200 złotych. „Najświeższe” płaciło się za brzydkie „siemkowe” kapelusze: 150—200 złotych, ale można też było wrócić do domu z cielęcim płacąc po 80 złotych za kilogram żywej wagi.

Zauważa się lekki spadek cen bydła i koni. Dobrą krewę kupić można za 35—40 tysięcy złotych; dorodne zrebie zdolne do pracy za 40 tysięcy, a konia — w zależności od wieku i kondycji — za 60—80 tysięcy złotych.

kultura

FINAL WOJEWÓDZKIEGO KONKURSU RECYTATORSKIEGO „O nagrodę Miśa Wierszawisza” i IV Festiwal Piosenki Dziecięcej zorganizowany przez Wojewódzki Dom Kultury w Łomży, przybrał w tym roku formę koncertu galowego. Wystąpiło w nim 71 najmłodszych recytatorów i piosenkarzy — laureatów eliminacji rejonowych. Wszyscy młodzi artyści otrzymali nagrody ufundowane przez WDK, Wojewódzką i Łomżyńską Spółdzielnię Mieszkaniową oraz Kuratorium Oświaty i Wychowania. Nagroda liczącej, rozbawionej publiczności, przypadła Doracie Szubert, uczennicy Szkoły Podstawowej nr 3 w Łomży, za „smaczna” piosenkę „Gdyby słońce było słodkie”.

ŁOMŻYŃSKIE TOWARZYSTWO MUZYCZNE ogłasza zapisy do Społecznego Ogniska Muzycznego w Łomży na rok szkolny 1982/83. Zgłoszenia przyjmowane będą do 19 czerwca w siedzibie Towarzystwa przy ul. Świeczewskiego 36. Tam też odbędzie się w dniach 28—30 czerwca wstępne przesłuchania kwalifikacyjne chętnych do nauki gry na fortepianie, skrzypcach, akordeonie i instrumentach dętych.

KONKURS NA RYSUNEK POD HASŁEM „MOJE MARZENIA” rozstrzygnięty. Wzięło w nim udział 65 autorów w wieku od 7 do 10 lat, którzy nadesłali w sumie 100 prac. Jury w składzie: Iwona Sielska, Jerzy Swoński (artyści plastycy) i Elżbieta Walkuska wyróżniło pięciu najmłodszych twórców — Anię Konepkę (SP nr 3); Jasię Koćwin (ZSG nr 5); Anię Malinowską (SP nr 3); Iwonę Broś (ZSG nr 5) i Mariusza Sokoła z tej samej szkoły. Pokonkursową wystawę oglądać można w siedzibie organizatora, Domu Środowisk Twórczych (ul. Wojska Polskiego 1, I piętro).

W nr. 7/82 „Kontaktów”, za biuletynem informacyjnym KW MO, podaliśmy krzywdzącą panią Marię W. ze Skórcza (gmina Ciechanowiec) wiadomość, iż w stanie nietrzeźwym wpadła pod furmankę. Sprawdziliśmy — informacja jest nieprawdziwa. Poszkodowaną gorąco przepraszamy.

myśl z atestem

„Zamiast odwracać się od zła, lepiej je zwalczać”

Lorenzo Valla

zdanie tygodnia

„Tyle lat rolnictwo dostawało po skrzydłach, aż dziś, że jeszcze odrastają mu pióra”

(zasłyszane)

wieści gminne



ZAMBRÓW. Zambrowski Dom Dziecka istnieje już 35 lat. Początkowo prowadzony był przez siostry zakonne i utrzymywał się z darowizn. W 1950 roku stał się placówką państwową, a pierwszym świeckim dyrektorem został Zenon Puchalski. W ciągu wielu lat, systematycznie, poprawiali się warunki życia wychowanków, jednak dopiero od grudnia ubiegłego roku są naprawdę dobre: budynek wyremontowano i w pełni przystosowano do pełnienia funkcji placówki opiekuńczej. Obecnie przebywa w nim siedemdziesiąt dzieci, a dwiętnastu wychowanków mieszka w bursach i internatach szkół ponadpodstawowych, pozostając z nim w ciągłym kontakcie. Przez te 35 lat usamodzieliło się już ponad dwustu wychowanków, większość z nich zdobyła zawód, sporo ukończyło szkoły średnie, wielu wykształciło się na nauczycieli, kilku — na inżynierów, jeden został lekarzem. Każdy z nich, opuszczając Dom, otrzymuje mieszkanie spółdzielcze. Obecnie książeczki mieszkaniowe posiada 50 dzieci.

Z okazji Dnia Dziecka placówkę odwiedziła gość z Komitetu Wojewódzkiego i Kuratorium Oświaty i Wychowania w Łomży, z I sekretarzem KW PZPR, Włodzimierzem Michalukiem i kuratorem Stanisławem Daniszewskim. Wręczyli oni kolejną, ufundowaną przez pracowników KW książeczkę mieszkaniową jednej z wychowanek. Goście zobowiązali się również do pomocy w budowie boiska sportowego i placu zabaw oraz zaopiekowali dwa miejsca na kolo-niach letnich w Augustowie.

GRAJEWO. Szkoła Podstawowa nr 1 otrzymała imię Konstantego Ildefonsa Gałęzyskiego. Na uroczystość przybyła Kira Gałęyska, która przekazała szkolnej Izbie Pamięci cenne pamiątki po swym wielkim ojcu.

MIASTKOWO. Trwa budowa i remont 54 obiektów mieszkalnych i inwentarskich. Deficyt materiałów budowlanych lagadzą zakupy cegły i pustaków u sąsiadów zza granicy, w województwie ostrołęckim. Brakuje jednak eternitu (gmina otrzymała w tym roku zaledwie 1900 szt., potrzeba około 6000) i cementu. Aby więc zrealizować przydział, jeden z rolników wybiera się w najbliższych dniach do cementowni własnym transportem. Cement zakupiony u producenta jest wprawdzie tańszy o około 30 procent, ale różnica ta i tak nie pokryje kosztów przewozu.

► Naczelnik podjął decyzję o sprzedaży rolnikom dalszych 9 hektarów ziemi; dotychczas z Państwowego Funduszu Ziemi przeszło w chłopskie ręce 19 hektarów. Prawie 80 hektarów (w okolicach Czartorii) przeznaczono na zalesienie.

► Jeszcze w tym roku planuje się zakończyć meliorację około 300-hektarowego kompleksu łąk, zwanego Krzywą Nogą.

► Dochód z ostatniej zabawy tanecznej przeznaczony został na remont strzelnicy sportowej.

SZCZUCZYN. Rejonowa narada sołtysów gmin Szczuczyn, Wasosz, Radziłów i Grabowo, w której uczestniczyli także prezesi Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”, dyrektorzy SKR-ów oraz przedstawiciele władz wojewódzkich, po raz kolejny potwierdziła trudną sytuację łomżyńskiej wsi. Rolnictwu ciągle brakuje części zamiennych, maszyn

CIĄG DALSZY NA STR. 15

zdarzenia

wypisy z historii

► 11.VI.1905 — krwawe starcia robotników Warszawy z carską policją;

► 14.VI.1926 — rozłam w Polskiej Partii Socjalistycznej i powstanie PPS-Lewicy (działała do 1931 roku);

► 15.VI.1963 — kosmiczny lot pierwszej i jedynej dotychczas kobiety, Walentyny Tierieszkowej;

► VI.1794 — cały czerwiec trwały utarczki powstańców kościuszkowskich z Prusakami, którzy od północy zaczęli wspomagać Rosję. Front nadnarwiański, w którego zasięgu znalazła się Łomża, stanowił ważny łącznik głównych ośrodków Insurekcji: Warszawy i Wilna. Jego zaplecze było zarazem głównym ośrodkiem apro wizacji stolicy. W połowie czerwca sytuacja na odcinku Łomża—Ostrołęka była dla Polaków dość pomyślna; powstańcy stoczyli kilka potyczek tak, że płk Kwaśniewski w raporcie dnia 18 czerwca mógł napisać: „Już nieraz grasowała była ziemia nurska i łomżyńska, gdybym nie odpędzał nieprzyjaciela”. Do większej bitwy pod Łomżą doszło w Piątynie w dniu 25 czerwca. Według relacji pruskiej 70 ich piechurów zmusiło ogniem karabinów do ucieczki 200 jeźdźców i 860 piechurów polskich. Generał Jan Cichocki podaje natomiast, że atak, który zakończył się porażką powstańców (7 zginęło, 9 dostało się do niewoli) poprowadził rotmistrz Świdorski mając za sobą 20 koni i 40 pieszych. 27 czerwca akt przystąpienia do powstania ogłosili obywatele ziemni wiskiej. Powstańcze patrole wysłane do Piątyny, Stawisk i Dobrzyjałowa stwierdziły wycofywanie się przeciwnika „ku Prusom”.

niesamowitość i sensacja

NOWY OGÓLNOPOLSKI KONKURS

KONTAKTÓW

Redakcja łomżyńskiego tygodnika społecznego „Kontakty” i Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza ogłaszają otwarty konkurs na opowiadanie o tematyce sensacyjnej, kryminalnej, niesamowitej i demonicznej.

Tekst nie może przekraczać 6 stron znormalizowanego maszynopisu (1 strona = 30 linijek po 60 znaków pisarskich). Nie publikowane prace w 5 egzemplarzach, opatrzone godłem, z kopertą zawierającą nazwisko i adres autora, należy nadsyłać do końca września 1982 r. pod adresem redakcji: 18-400 Łomża, ul. Świerczewskiego 7.

Jednocześnie ogłaszamy konkurs otwarty na grafikę lub zestaw rysunków o takiej samej tematyce. Prace w formacie A-4 lub mniejszym, odpowiednio zabezpieczone, opatrzone godłem, z kopertą zawierającą nazwisko i adres autora, należy nadsyłać także do 30 września 1982 r. Rozstrzygnięcie konkursów nastąpi do 31 grudnia 1982 r.

Nagrody

W konkursie literackim:

I – 20 000 zł, II – 10 000 zł, III – 5 000 zł

oraz nagroda w wysokości 10 000 zł Prezydenta Łomży za motyw łomżyński i pięć wyróżnień po 1000 zł.

W konkursie plastycznym:

I – 10 000 zł, II – 5 000 zł, III – 3 000 zł

oraz 5 wyróżnień po 1000 zł.

Organizatorzy konkursu zastrzegają sobie prawo pierwszeństwa publikacji nagrodzonych i zakwalifikowanych do druku oraz innego podziału nagród. Nadesłanych prac nie zwracają.

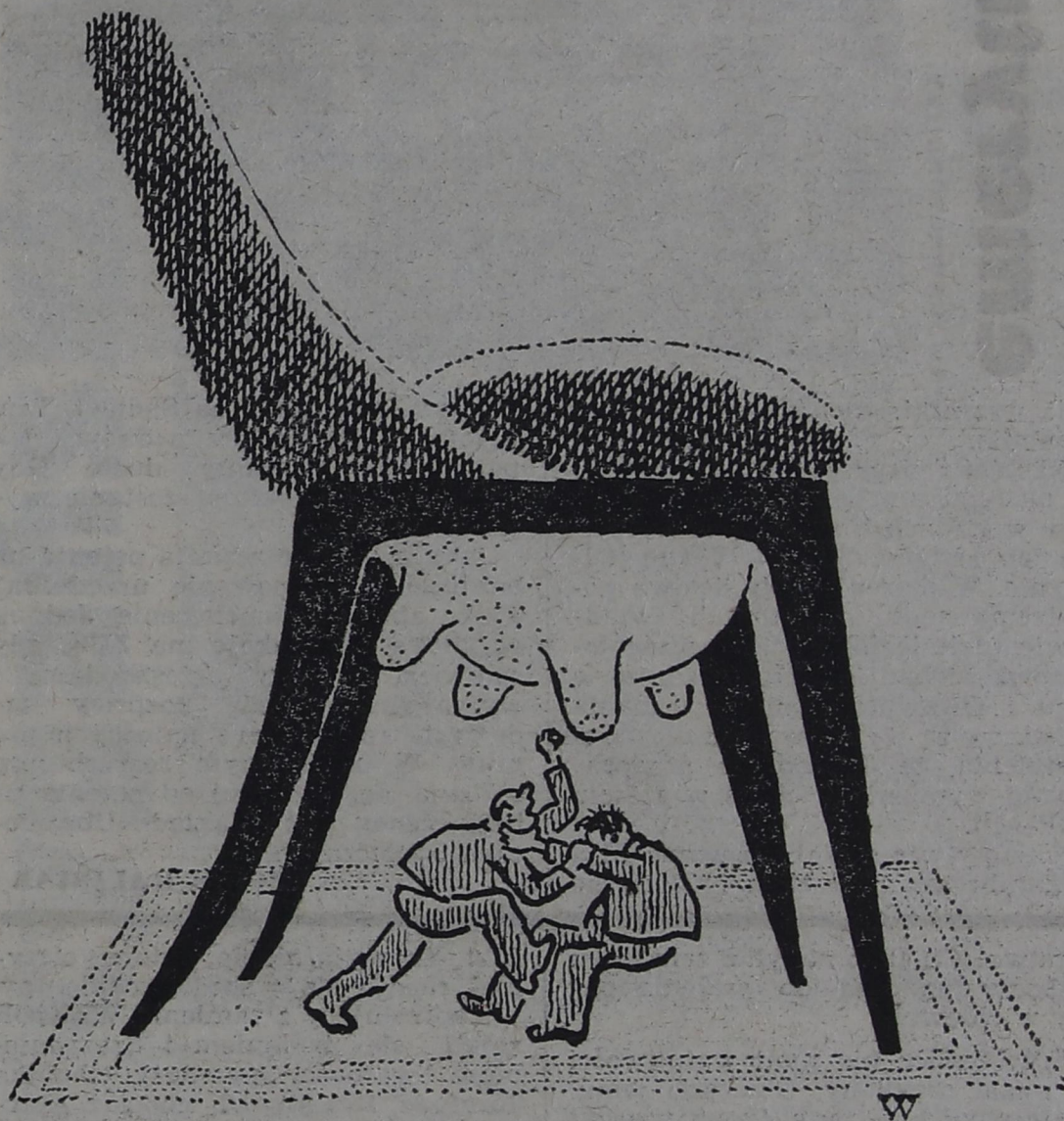
HELENA MLYNARCZUK (Lesień, gmina Zaręby Kościelne): — Widać pan, ile gazet leży w kioskach? W telewizji mówią: ceny są zbyt wysokie, więc ludzie nie kupują. Ja „Przyjaciółkę” kupię zawsze, chociażby kosztowała dziesięć złotych. Ludzie po prostu nie znajdują w nich nic dla siebie ciekawego. Był czas, że po gazety w Szulborzach ustawiały się kolejki. Wiele jest tematów, o których powinny pisać gazety. Np. trudno jest kupić obuwie, zwłaszcza gumowe. Jak jest dostawa, milicja nie może zaprowadzić w sklepie porządku. Dlaczego nikt nie pomyślał, żeby ten problem rozwiązać? Przecież sołtysi mogą zrobić listy i każdej rodzinie przydzielić na początek po jednej parze gumowców. Gazety powinny podsumować takie pomysły i pilnować, aby wprowadzono je w życie. Dlaczego nikt nie pisze, że jakość towarów bardzo spadła. Dawnej buty czy ubranie służyły przez wiele lat; kupione dzisiaj — ledwie wystarczają na sezon.

Najwięcej prasa może pomóc w zmianie sposobu myślenia ludzi. Weźmy chociażby to, jak w mieście traktują ludzi wiejskich. Każdy patrzy na nas wilkiem, z pretensją, że mu wieś wszystko wykupuje. Jesteśmy obywatelami tego samego kraju, a czujemy, że traktuje się nas gorzej. Gazeta, którą chciałabym czytać, powinna zawierać dużo krytycznych informacji o pracy urzędników. Gdy pójdziesz się do urzędu w gminie, bardzo trudno pomyślnie załatwić sprawę. Inaczej patrzą na człowieka, jeśli pojedziesz do Warszawy i wróci z pismem polecającym.

Najważniejsze jest to, aby gazeta starała się przywrócić ludziom wiarę w wartość pracy. Najbardziej boli się o młodych. Wiedzą, że w mieście życie jest łatwiejsze. Jeśli na wsi nie otrzymają pomocy, niewielu zostanie chętnych do gospodarowania.

JADWIGA WEBER (Łomża): — Jeśli kupuję w kiosku jakąś gazetę, na pewno są nią „Kontakty”, bo po co mi brać „Życie Warszawy”, „Trybunę Ludu” czy „Gazetę Krakowską”? Wprawdzie to ta sama Polska, ale zawsze bliższy człowiekowi region, w którym mieszka. Chętnie więc czytam reportaże i ciekawostki historyczne o Łomży. Czasami bardzo się gdzieś spieszę, zaczęty tylko jedną stroną, ale zawsze do czytania wracam. Teksty w piśmie bardzo wciągają. Powiedziałabym, że „Kontakty” są nie tyle pismem partyjnym, ale także ludzkim, bardzo życiowym. A ostatnio zrobiły mi niespodziankę, bo podają nawet ceny z rynku. Mnie, sprzedającą swoje warzywa, to również interesuje. Lubię „Kontakty” i czasami obawiałam się o to pismo, kiedy krążyły po Łomży pogłoski, że przestanie wychodzić.

TADEUSZ GODLEWSKI (Zalesie Stare, gmina Klukowo): — Moim pis-



Rys. Stefana Wielgusa

jak sobie wyobrażam moje pismo regionalne

mówią rolnicy indywidualni

mem regionalnym są „Kontakty”. Po prostu lubię zaglądać do tej gazety. Ciekawe „Śpięcia”, „Zdarzenia”. One naprawdę orientują człowieka ze wsi, co dzieje się w województwie. A przecież zawierają także inne treści. Czytuję również i reportaże, zwłaszcza o ludziach z gminy Klukowo. Oczekiwałam może więcej informacji na temat przyszłości naszej ziemi. Jest ona naprawdę piękna i wiele działo się tu ciekawych rzeczy, także ważnych historycznie. Dla mnie horoskop nie jest potrzebny, ale krzyżówkę czasem próbuję rozwiązać.

„Kontakty” nie są pismem rolniczym, a więc trudno od nich wymagać rzeczy fachowych; sądzę jednak, że mogłyby zamieszczać nowinki gospodarskie z poprzednich epok. Wtedy ludzie też nie mieli nawozów, maszyn rolniczych, a jakoś sobie radzili. Może warto byłoby więc sięgnąć do tamtego arsenału pomysłów, skoro służba rolna, poza papierosem, nie ma co rolnikowi zaferować?

JAN WYSZOLMIRSKI (Bybitki, gmina Szepletowo): — Nie mogę powiedzieć, że „Kontakty” są złym pismem. Raczej interesującym. Zawsze jest w nich o czym poczytać. Krytykują bałagan, niedbalstwo. Może powinny nie tylko pisać, lecz i dopilnować, wyegzekwować załatwienia spraw do końca. Każda krytykowana jednostka musi mieć obowiązek udzielania odpowiedzi dziennikarzowi na publikację. Zbyt rzadko raz podjęty problem powraca na łamy „Kontaktów”, a powinien dotąd krążyć, aż zostanie rozwiązany ostatecznie. Może by więc tych opornych i opieszłych zapisywać na jakąś publiczną czarną listę. Wzmocni to rangę „Kontaktów”, a ludziom odwołującym się do nich da gwarancję, że ich prośby nie będą tylko spełniane na papierze.

Uważam „Kontakty” za pismo wiarygodne i interesujące, łącznie z diablami, o których ostatnio tak mało słychać. Czyżby udały się już na urlop? A może za dużo rozrabiały i ktoś je przymknął?

Rolniczek ze wsi Bujenka (gmina Ciechanowiec): — Na co panu moje nazwisko? Ja tak szybko znajomości nie zawieram. Gazety czasami czytam, ale ostatnio mam pracę w polu. Muszę też krowy zagonić, przegonić, wydoić. Powiedz mi pan, kiedy znaleźć czas na czytanie? Jeśli u da mi się urwać jaką chwilkę, jadę do Ciechanowca czy Klukowa po buty gumowe, gwoździe, wiadro. O, na jesieni kupiłam trzy metry żyta państwowego; weszło mi tak rzadko, że może nawet będę musiała dosiewać. O „Kontaktach” słyszałam coś niecoś. Tyle lat przeżyłam bez gazety to i teraz się bez niej obejdę. Najważniejsze, aby wszystko obsiać, a potem sprzątnąć. Z tego będzie chleb, a nie z gazety.

STANISŁAW HUPKOWSKI (Trzaski, gmina Ciechanowiec): — Najbardziej odpowiada mi „Gromada”. Pisana jest prostym, przystępnym językiem. I to już jest nasza gazeta od wielu lat. Może z czasem takim popularnym pismem staną się i „Kontakty”, nie przeczę, ale na to rok czy dwa nie wystarczą. Teraz najchętniej czytamy informacje na temat, co, gdzie, kiedy i za ile można kupić. Każdą śrubkę, każde deko gwoździ musimy wydeptać, wyjeździć. Panie, lepiej powiedz, co to za cholerne czasy idą: mówi się, że wszystkiego mamy więcej, sytuacja się stabilizuje, tylko żadnej poprawy nie widać!

JOZEF TYMIŃSKI (Luniewo Małe, gmina Ciechanowiec): — Gdy się cały dzień natyram, wieczorem nos wsadzam w telewizor i śpię. Wie pan, oni tak pięknie mówią! Tyle razy słyszałem o zielonym świetle dla rolnictwa i teraz rzeczywiście ono jest, tylko tak jaskrawe, że chłop przy nim zbaraniał i już nie wie, w którą stronę iść, bo brakuje mi drobnej części. Na podróże wydałem już kilka tysięcy, lecz nigdzie nie mogę takiego drobiazgu znaleźć. I jeszcze nam się teraz mówi, że my dbamy tylko o siebie. Zajedziesz do miasta kupić bochenek chleba, tam cię niemal palcami wytykają i patrz jak na coś najgorszego. A buty kto nam wyprodukuje? Kanki na mleko mamy z zagranicy sprowadzać? Jeden w telewizji rozsiadł się wygodnie i mówi: „Można obejść się bez odzieży i bez butów”. Nie wiem, kto to był, ale na pewno nie ze wsi. Taki paniczek z miasta, urzędnik, czynia trzymający się kurczowo swojego fotela, może tak mówić, bo rzeczywiście jeden garnitur wystarczy mu na kilka lat. Chodaki też jakies dostanie spod lady, więc czy mu kryzys w oczy zajrzy?

Gazety są tak samo wiarygodne, jak nasza kochana telewizja. „Kontakty” też nie są inne. Gdyby było inaczej, ludzie znaleźliby czas na ich czytanie; jeden drugiemu wyrzywałby z ręki. Ale widać tak nie jest.

sondazę

Zacząłem się od tego, że zламiałam rękę pod koniec grudnia 1980 roku — mówi Stanisława Tyłendowa. — Nigdy nie myślałam, że tak długo będzie niesprawna. Gdy wiosną przyszło iść do pracy w sużarni, bałam się, że sobie nie poradzę. Do tego wiązania worków i odciągania musza być sprawne obie ręce. Ale poszłam. Podpisałam umowę na sezon, jak co roku, odkąd mieszkam w Grądach Wonięcku, i — dzięki pomocy koleżanek — jakoś pracowałam. O emeryturze na razie nie myślałam, gdyż nie miałam przecież 60 lat; przerwać pracy nie zamierzałam, bo każdy grosz w domu potrzebny, a i chciałam zachować jej ciągłość (w PGR-ach pracuję już od 1947 r.). Jakąż radością dla mnie była wiadomość, podana w telewizji, że w moim wieku (55 lat) można pójść na emeryturę! Pod koniec września 1981 złożyłam dokumenty w zambrowskim Oddziale ZUS-u.

ZUS odpowiedział odmownie na złożony wniosek o wcześniejszą emeryturę. Nie zaliczył całego okresu pracy, udowodnionego na podstawie świadków. Twierdził, że zeznania świadków są niewiarygodne. Stanisława Tyłendowa złożyła odwołanie do Rady Nadzorczej ZUS-u w Zambrowie. Na rozprawę 11 XI 81 r. pojechała z mężem, cała roztrzęsiona. Pierwszy raz w życiu sąd miał decydować o jej prawdomówności. Gdy zapadł wyrok na jej korzyść, rozplakała się ku ogólnej wesołości: „Powinna pani się cieszyć, że dostała emeryturę, a nie płakać”.

Po otrzymaniu pisemnej decyzji o przyznaniu emerytury przez Radę Nadzorczą nadeszło, niestety, odwołanie, złożone przez Oddział ZUS-u w Zambrowie. W uzasadnieniu Adam Czaartoryjski napisał m.in. „Uznanie okresów zatrudnienia w ilości 19 lat 2 miesiące i 2 dni w sześciu zakładach pracy jest sprzeczne z zasadami współżycia społecznego i doświadczeniem życiowym”. W całym półtorastronicowym uzasadnieniu zmiany decyzji Stanisława Tyłendowa najmniej rozumiała to zdanie. Jak kompletowała zaświadczenia o pracy, miała okazję zauważyć, że zgineły nie tylko jej dokumenty. Zakładając, zgodnie z wymogami ZUS-u, dawały adnotacje do świadectw pracy typu: „dokumentację pogryzły szczury” — „zagubiła się przy przeprowadzce” itp. Co mogła zrobić? Zdała się na ludzi, którzy z nią pracowali. Przy każdym wystawieniu świadectwa pracy odbywała się cała ceremonia: wszyscy świadkowie zbierali się w biurze, główny księgowy lub dyrektor odczytywał odpowiedni przepis o odpowiedzialności karnej, następnie egzaminował z zajęć, które świadkowie z zainteresowaną wspólnie wykonywali, wreszcie następ-

wały podpisy. Na końcu dołączało się adnotację o okolicznościach zaginięcia dokumentów.

Odwołanie od orzeczenia Rady Nadzorczej zambrowskiego Oddziału ZUS-u zostało rozpatrzone przez Okręgowy Sąd Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Białymstoku. Uchylił on zaskarżone orzeczenie Rady Nadzorczej i zlecił ponowne rozpatrzenie sprawy, bowiem poprzednio nie przesłuchała ona świadków.

Następnym więc etapem w drodze po emeryturę była rozprawa (18 II 1982 r.) w Radzie Nadzorczej w Zambrowie, na którą nie stawili się żaden świadek. Jak się później okazało, nie wszyscy otrzymali zawiadomienia o konieczności przybycia. Jeden ze świadków już nie żył, a inny przysłał list, w którym potwier-

mogli sobie uznać, oni nie płacą. A świadkowie nauczyli się na pamięć tego, co mają mówić, i w kółko powtarzają”. Kilka dni po tym oświadczeniu otrzymała Tyłendowa pisemne zawiadomienie o nieprzyznaniu jej emerytury ze względu na brak dowodów świadczących o tym, że pracowała bez przerwy 19 lat i miesiące. Koronnym i jedynym argumentem był fakt, że mąż Tyłendowej posiada świadectwo pracy, a ona nie.

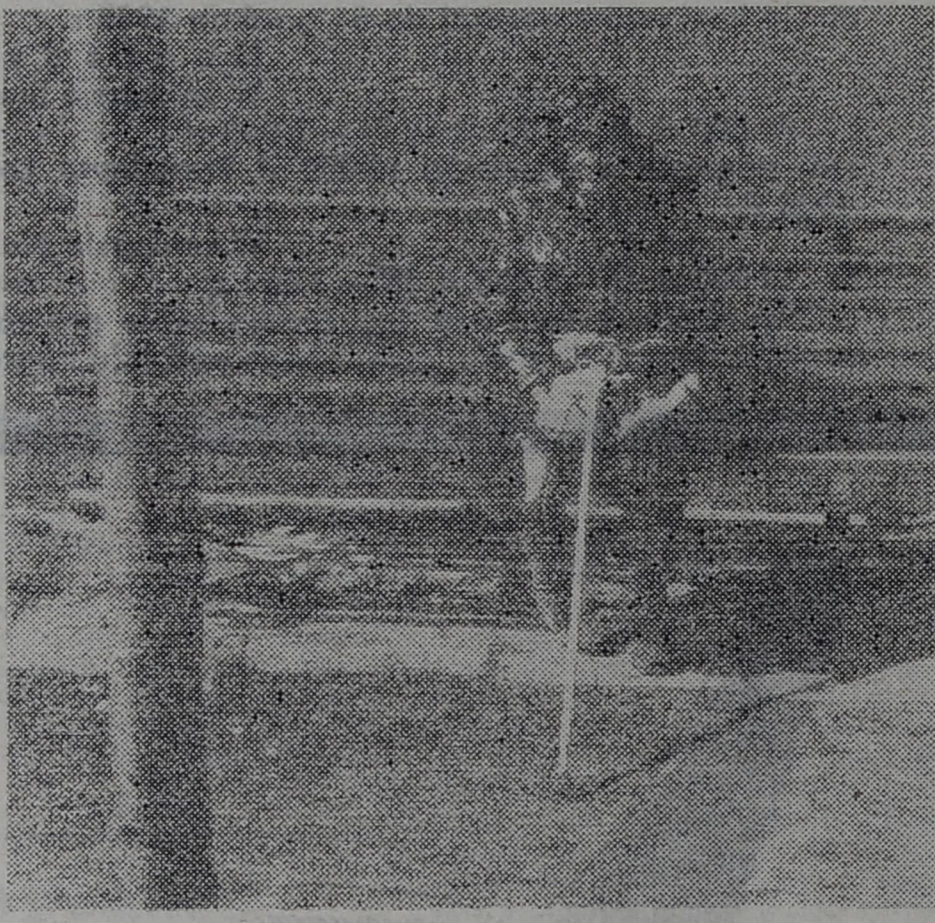
Tyłendowa ponownie złożyła odwołanie do Okręgowego Sądu Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Białymstoku za pośrednictwem Rady Nadzorczej w Zambrowie. W miesiąc później Tyłenda, zaniepokojony brakiem wiadomości, pojechał do Rady, aby dowiedzieć się, czy sprawa została przekazana Sądowi. Tam usłyszał: „Takich przypadków, jak pańskiej żony, mamy dużo. Gdy przyjdzie czas, skarga zostanie wystana”.

Jaka może być reakcja petenta na bezduszne postępowanie urzędnika? Tylko apatia i zniechęcenie. Jednak wątpliwa satysfakcję ma ZUS, gdy człowiek, zrażony przeszkodami i wyczerpany ilością rozpraw sądowych, rezygnuje z należnych mu praw. W ostatecznym rozrachunku okazuje się, że lepiej od petenta ubezpieczonego jest Zakład Ubezpieczeń Społecznych.

ZOFIA HALINIAR

emeryturę zjadły

Fot. GABOR LÓRINCZY



dził wszystkie swoje wcześniejsze zeznania.

Następna decyzja ZUS-u brzmiała następująco: przesłuchać świadków w Radach Nadzorczych w rejonie ich zamieszkania — Elku i Olsztynie. W marcu odbyły się dwa posiedzenia sądu, na których świadkowie (dziesięciu) zostali szczegółowo przesłuchani. Rady Nadzorcze w Elku i Olsztynie uznały zeznania świadków za wystarczające dla udowodnienia, że Tyłendowa przepracowała wymieniony okres w sześciu PGR-ach.

Niestety, nie chciał ich uznać ZUS w Zambrowie: „W Elku i Olsztynie

została przekazana Sądowi. Tam usłyszał: „Takich przypadków, jak pańskiej żony, mamy dużo. Gdy przyjdzie czas, skarga zostanie wystana”.

Jaka może być reakcja petenta na bezduszne postępowanie urzędnika? Tylko apatia i zniechęcenie. Jednak wątpliwa satysfakcję ma ZUS, gdy człowiek, zrażony przeszkodami i wyczerpany ilością rozpraw sądowych, rezygnuje z należnych mu praw. W ostatecznym rozrachunku okazuje się, że lepiej od petenta ubezpieczonego jest Zakład Ubezpieczeń Społecznych.

ZOFIA HALINIAR

darstwa! Ciągnik nabył z zamiarem wykorzystania go do wozenia paszy w chlewni.

Frąckiewicz nie miał wątpliwości — został oszukany. Obiecano jemu, a otrzymał ktoś inny. Czym prędzej udał się do tych, którzy kilka tygodni temu byli skłonni wypisać przydział choćby od ręki.

Sekretarz gminny PZPR zapowiedział interwencję terenowej grupy operacyjnej. Od wojskowych Frąckiewicz usłyszał: „To jest gruba sprawa, ciągnik będziemy ścigać”. Gdy dyrektor SKR-u powiedział: „Nie dochodzi ciągnika, ja tobie załatwię drugi, duży” — Frąckiewicz był pewien, że wykryje afere.

intryga

Ale wyjaśnić sprawę było coraz trudniej. Od 1 stycznia naczelnik Zarębów Kościelnych odszedł na przyspieszoną emeryturę; zwolnił się też z pracy kierownik służby rolnej. Jak się okazało, on właśnie dzielił maszyny, a zlecenia opatrzył pieczęcią z napisem „z up. naczelnika Bolesława Niemira”. Zaginęły też podania Frąckiewicza i Brzostka o przydział ciągnika.

Frąckiewicz zwątpił w skuteczność interwencji u miejscowych władz — wysłał skargi do Komitetu ds. Radia i Telewizji, do Biura Skarg i Listów Urzędu Rady Ministrów. Zjeżdżały kontrole. Niestety, i ich wyniki były dla Frąckiewicza negatywne. Nie byłoby to może dlań specjalnym zaskoczeniem, gdyby nie

fakt, że wyjaśnienia, które otrzymał, różniły się w sposób ewidentny.

Kontrolujący z ramienia WZKiOR zajęli się badaniem i uzasadnieniem legalności sprzedaży ciągnika Józefowi Brzostkowi, chociaż skargą był nie on, a Frąckiewicz. „Sprzedaż ciągnika została dokonana w dniu 22.12.81 r. w oparciu o wytyczne Uchwały nr 236 Zarządu CZKR dla Ob. Józefa Brzostka [...]”.

Natomiast pracownicy Urzędu Wojewódzkiego powołują się na zarządzenie wojewody łomżyńskiego z 5 listopada 1981 r. W ich uzasadnieniu czytamy: „Obowiązujące zasady sprzedaży w grudniu 1981 r. przewidywały, że sprzedaż ciągników rolniczych wycofanych z eksploatacji w SKR prowadzona była w ramach sprzedaży związanej w relacji jeden do jednego. Obywatel w 1981 r. sprzedał żywcza za 64 tysiące złotych, natomiast cena ciągnika wynosiła 91 tysięcy złotych, nie spełniał więc obywatel koniecznych warunków”.

Tego wyjaśnienia zabrakło w momencie, gdy rolnik składał podanie. Gdyby Frąckiewicz wiedział o tym, nie angażowałby kontrolerów i oszczędziłby nieco własnego zdrowia.

Postanowiłem sprawdzić, czy Józef Brzostek jest zadowolony z kupionego w SKR-ze ciągnika. W obojętności znalazłem tylko przyczepkę od „Prostojewa”; ciągnik — zapewnił rolnik — remontują w POM-ie w Czyżewie. Od pracowników POM-u usłyszałem: — Jeszcze zimą przewieziono ciągnik, ale tego samego dnia ktoś go odebrał; gdzie powiódł, nie wiemy.

Miejmy nadzieję, że tam, gdzie jest, służy lepiej, niż mógłby — Frąckiewiczowi.

WIESŁAW KOŁOWSKI

kontakty kontaktów

Pracownicy Oddziału Plantacyjnego Przedsiębiorstwa Przemysłu Spożywczego w Łomży są oburzeni treścią artykułu „Szkoła oszustów”, zamieszczonego w „Kontaktach” nr 35. Pracujemy w tym przedsiębiorstwie od szeregu lat i dlatego opisane fakty uważamy za bezpodstawne, oszczercze i wielce krzywdzące.

JÓZEF GÓRSKI
Kierownik Oddziału
Plantacyjnego
(oraz 9 podpisów pracowników)

★

Nie wiem, dlaczego słynna niedgdyś afra ziemniaczana, na której ujawnienie liczyłam właśnie w „Szkoła oszustów”, została wyciszona. Czyżby szeroko propagowana odnowa sprowadzała się do „zamknięcia buzi na kłódkę”? A może wpływ Dyrekcji Przedsiębiorstwa Przemysłu Spożywczego sięgają aż po „Kontakty”?

Czytałam uważnie zamieszczoną w ubiegłorocznych „Kontaktach” polemikę do „Szkoły oszustów”, która jakoby miała odzwierciedlać stanowisko pracowników przedsiębiorstwa. Jednakże poza stwierdzeniami: „my do tego się nie przyznajemy, nie mamy z tym nic wspólnego”, niczego więcej nie zauważyłam, a szkoda. Samo spotkanie, jak to pięknie zostało nazwane, aktywu przedsiębiorstwa z dziennikarzem „Kontaktów” budzi wiele zastrzeżeń. Bowiem, moim zdaniem, nie wszystkie mechanizmy nadużyć zostały ujawnione, a niektóre z wypowiedzi członków aktywu wręcz je potwierdzały.

Czuje poważny niedosyt cyklu publikacji „Szkoła oszustów” i dlatego przypominam autorowi, Stanisławowi Zielińskiemu, że raz rozpoczętą sprawę należy doprowadzić do końca. Jednakże tym razem dziennikarz powinien rozmawiać nie tylko z aktywem przedsiębiorstwa, ale także z jego zwykłymi pracownikami. O tym zresztą podpowiadał już autorowi w polemice pracownik działu rewizji, ob. Maciej Bielicki, który stwierdził: „obraz byłby pełniejszy”. Natomiast ob. Józef Kiersztan podzielił się uwagą, że „jeden z pracowników po przeczytaniu cyklu „Szkoły oszustów” powiedział: plotki siedzą, a generałowie chodzą”. Wynika więc z tego, że pracownicy zakładu wiedzą coś więcej na ten temat i chyba mogliby pomóc redaktorowi Zielińskiemu w napisaniu kursu wyższego „Szkoły oszustów”.

Stała czytelniczka
pracownia Przedsiębiorstwa
Przemysłu Spożywczego

Od autora: sądziłem, że spotkanie z aktywem przedsiębiorstwa dostatecznie wyjaśni problemy zasygnalizowane w „Szkoła oszustów”. Dlatego też nie podawałem do wiadomości czytelników pierwszych listów, jakie napłynęły do redakcji wkrótce po ukazaniu się obu publikacji. Jednakże list, który dotarł do nas w ostatnich dniach, sugeruje, że dziennikarz powinien pójść dalej — być może aż do absolwentów „Kursu wyższego”.



Maciej Sulima mieszka w Elku. Stara poniemiecka kamienica stanowi lichą rekompensatę za utraconą na kresach ojcowiznę. Nie wygląda na swoje siedemdziesiąt dwa lata. Tylko twarz, posiekana bliznami po odlamkach szrapnela, jest zwierciadłem tego, co — jak zły sen — ciągle wraca i kłębi się w duszy pod pogodną maską obojętności.

— Jak przyszli Niemcy i zwłachali się z Ukraińcami, musowo było uciekać. Zabili mi żonę, dziecko (sześć lat) i dwóch wujków żony. Z Wołynia uciekaliśmy na Pińskie Błota, na Polesie. Panie, tam bagno nie do przejścia, to i partyzantów dużo. Słyszał o generale Komarowie? To był cały dowódca partyzantów. Dowodził chyba osiemnastoma brygadami. My w tych bagnach trafili do oddziału „Czapajewa”. Tak na niego mówili, ale naprawdę nazywał się starszy lejtnant Zajkow. W mojej brygadzie było czterech Cyganów: ja, dwóch wujków i ciotka. Jeden wujek zginął w partyzantce, drugi zmarł (ze dwa lata temu), ciotka jeszcze żyje w Lublinie. Ten Zajkow dowodził trzema brygadami partyzanckimi; to było chyba ze trzy tysiące ludzi. Na bagnach zrobili nawet lotnisko, przywołali samolotami broń, żywność, ludzi. Ja byłem drużynowym, dowodziłem cekaem. W pobliżu szły kolejowe transporty na front, myśmy zrywali to, a jak nie szło zerwać, wysadzałyśmy je.

Raz był rozkaz zdobycia Pińska i zniszczenia garnizonu niemieckiego. To my brali Niemców w okrażenie, to oni nas. W końcu przyszedł ze swoimi brygadami Kołpak i posilki dali ze zrzutów. Pińsk my zdobyli tylko na tydzień. Wreszcie zbliżył się front. Dowodził Rokossowski. Dał niby partyzantom dwa miesiące odpoczynku, ale co to był za odpoczynek. Zrobili z nas milicję. Trzeba było w lasach dobijać własowców. Po tym „odpoczynku” umundurowali nas i wozili od Pińska do Mińska, do Bobrujska, Smoleńska i Witebska. Wybrali Polaków i skierowali na front pod Białystok, a stąd — do Lublina. Tam napadli nas własowcy. Wtedy byłem ranny od szrapnela w kark i rękę, trafiłem do szpitala. Jak mnie podkurowali, powieźli do Pińska, a potem do Baranowicz. Chcieli wieść na roboty do Donbasu, ale krewni mówią: „W Baranowiczach jest polska komisja, kto się zgłosi, może jechać do Polski”. Ruskie wtedy: „Stop, jaki on Polak?” A Polak: „Cygan to narodowość, ale obywatelstwo polskie”. Tak i zebrawi nas w Łańcowiczach do pociągu i przywieźli do Moraga.

Zaczeliśmy pracować. Wybudowali dom, teść miał gospodę. Jak stary umarł, wszystko się rozpadło. Mnie jako osadnikowi dali 12 hektarów ziemi. Miałem już drugą żonę i małe dzieci. Tak ja mówię: „Wyjeżdżamy, na roli bez maszyn za ciężko”. Przyjechaliśmy do Elku. Dali nam mieszkanie, zacząłem pracować w PBR-olu. Po 6 latach dostałem rentę, sześć tysięcy. Zona pracuje w zamrażalni, dzieci się kształcą. Jeden syn wyczuł się na budowlanica, jest specjalistą od centralnego ogrzewania i instalacji wodnych. Ożenił się z Polką. Dziecko mają. On służył w wojsku nawet, a innych Cyganów nie biorą, bo to fuligany takie.

Stanisława Marcinkiewicz układa na patelni grube plastytry boczku. Obok na płycie, w starym wiadrze, gotują się kartofle dla słoń.

— Osiedlili nas w Starej Łomży i mówią: gospodarzcie. My by gospodarzyli, ale jak? Do szkoły dzieciom daleko, wody brak. Owszem, była jesień i wiosna, ale w piwnicy, po szyję. Przyjechali, kopali na 32 kręgi i nie znaleźli. Żeby do końca rządził Łazarowicz, my by na tej wsi zostali. On jak ojciec był dla nas. Kiedy go zabrali do Białegostoku, to i myśmy uciekli. On i ubranie załatwił, i dzieciom jedzenie w szkole, i tę studnię kazał kopać, i beczki do wozienia wody dał. A jak jego zabrakło, nikt się nami nie interesował, tylko milicja. Poszli my do urzędu, ale nie było z kim rozmawiać. „Ludzie żyją, to i wy życie, wodę sami sobie zrobicie”. Zaczęli my chować świnię i krowy. W zimę śnieg topili i tak gotowali. Mus było uciekać. Nad sierota Bóg się gniewa.

— Te Cygany chcieliby lekko żyć — mówi były sąsiad Marcinkiewiczów. — Na wsi trzeba pracować. Ja też nie mam wody i beczką wożę. Ale Cygan jest niecierpliwy, chce szybko i dużo zarobić. Tę ziemię dali im na śmiech. Oni siali, a nie zbiera-

— Jak? Carnobylcy? Jakie Carnobylcy?! My Polaki, Polska Roma. Na mapie się zna? To niech zobaczy: Równy jest? My stamtąd. A nasze dzieci wszystkie tu się rodziły; łomżyński. Przedwojennych Niemiec wybił. To byli dzikie Cygany. Z nimi nie pogadał. Jak coś przeciw nim powiedział, nawet jak źle spojrział, zaraz nóż wyciągali i jagur!

rali. Z Cygana rolnik, jak z zająca ogrodnik.

— Kochanieńki — ciągnie Marcinkiewiczowa — toż ja i tu, w mieście, świnie chowam. Tam też by chowała, żeby było można. Ale ja chora, dopiero ze szpitala przyszła. Mąż też nie najlepszego zdrowia. W lagrach zdrowie stracił.

— Całą moją rodzinę na samym początku wojny zabili Niemcy — podchwytuje mąż. — Ocalał tylko ja z bratem, Michałem, ale jego też zaraz potem zabili. Wkrótce i mnie koło Wilna złapali Niemcy i zawieźli do Grodna. Tam w śledztwie trzymali dziesięć miesięcy. Chcieli, żebym wydał partyzantów, bili. Ja im mówiłem: „Uciekłem do lasu, bo zabijają Żydów i Cyganów, ale partyzantów nie widziałem”. To ich drażniło i bili jeszcze więcej. W końcu dali spokój i wywieźli do Białegostoku. A tam tyfus. Po kwarantannie, w czerwcu 1943, znalazłem się w Auschwitz-Birkenau (zrobili na ręce numer Z-19991), potem w

(Te blizny na głowie są od tego szpadla). Ocknąłem się w obozie. Tam nakarmili mnie Polacy i zrobili skręta. Potem zawieźli do „mojego” obozu. Wrzucili do bunkra w cementowe ściany. Leżeć mogłem na wąskiej ławce tylko w nocy, w dzień stałem bez ruchu. Tak było przez trzy dni. Sił zabrakło, w końcu straciłem przytomność.

Po trzech dniach zabrali mnie na blok karny dla uciekinierów. Wygnali do roboty, ale nie dałem rady pracować. Upadłem. Niemiec przyszedł i mówi: „Kaput, do pieca!” Jak to usłyszeli Polacy, zanieśli mnie na blok. Drugiego dnia wyzwolili nas Amerykanie. Podleczyłem się i wróciłem do Polski. Spotkałem znajomych Cyganów. Jeden pożyczył mi pieniędzy na życie, a potem przyjął do spółki. Handlowaliśmy końmi. Zarobiłem i oddałem mu dług.

Potem znalazłem kolegę z małych lat, który wrócił z ruskiej partyzantki i miał TT-kę. Doniósł o tym jakiś Cygan, ale kolega pistoletu nie

niewinnie, a teraz przez te wyroki nie chcą mi dać renty. Czy ja winien, że mnie matka Cyganem urodziła?

Chciałem pomóc tej kobiecie. Sam całą wojnę spędziłem w lagrach, więc doskonale ją rozumiem. Ale naprawdę nie więcej zrobić nie mogę. Jest członkiem ZBoWiD-u bez uprawnień, bo brakuje zaświadczenia kombatanckiego. Sama występowała do PCK i otrzymała niekorzystną odpowiedź. Żeby ktoś nie zarzucił nam braku dobrej woli, całą sprawę przestaliśmy do Zarządu Głównego. Niestety, komisja weryfikacyjna i sekretariat Zarządu wydały opinie negatywne. Są pewne niezgodności w datach urodzenia, których nie można wyjaśnić.

— On gada, że w papierach się nie zgadza — denerwuje się Ewa Aleksandrowicz. — Jak ma się zgadzać, jeżeli ja, gdy mnie aresztowali, zmyślone nazwisko podałem i lipne daty urodzenia? Czy ja miała podać prawdziwe, skoro brat i ojciec byli na froncie, matka z dwunastką dzieci w stogu, a siostrę zabili? Do ZBoWiD-u zapisali w roku 1963, ale nie chcą mnie uznać za kombatan-ta. Oni coś kręcą! Zobacz, synku, numer z Oświęcimia Z-4487 na ręce jest? Jest! A plecy mam pokazać. Z tego ja chora. Zawał miała. Komisjnie przyznali II grupę inwalidzką.

Młoda byłem. Cyganie musowo musieli iść do lasu, bo Niemcy do nas strzelali bez ostrzeżenia. W partyzantce ruskiej byłem jako łączniczka. Siostrę zabili od razu, na moich oczach, mnie aresztowali i pytają, czyje to dziecko (paroletnia dziewczynka została po siostrze). Powiedziałam, że to moja córka, Basia, a ja jestem Stanisława Wiśniewska. Wywieźli nas do Oświęcimia. W lagrze był głód, a od noszenia gliny zachorowałam na tyfus. (Jak kto gliny nie nosił, psy mu ręce wyjadały). Położyli mnie do szpitala; dziecko zmarło na dzień przed moim wyjściem, bo nie było się komu opiekować. Na moich oczach wrzucili ją do pieca. Potem mało pamiętam; ot, wozili mnie po różnych lagrach. Tak ty, synku, pomóż, niech oni mnie uznają za kombatan-ta! Przecież papiery dałam, zeznania świadków, a teraz mam nowe zaświadczenia z Oświęcimia; tam te daty urodzenia wyprostowane.

— Bazylego Aleksandrowicza, co w drugim oddziale łącznikiem był, od śmierci uratowałem. Jego ojciec to zasłużony partyzant. Jak zmarł, z orkiestrą wojskową go chowali. No, ja też mam odznaczenia.

Sulima rozkłada przede mną legitymacje i order: Krzyż Partyzancki, Medal Zwycięstwa i Wolności 1945 r., Odznakę Grunwaldu. W legitymacjach podpis Przewodniczącego Rady Państwa, Henryka Jabłońskiego.

— Tych najważniejszych: Orderu Czerwonej Gwiazdy, Orderu Lenina i Krzyża Partyzanckiego (dziecięcego) ani legitymacji nie mam. Ukradli mi młodzi Cyganie, którzy trochę u nas mieszkali; tak się odwdzięczyli. Nie wiem, gdzie pisać, żeby dali drugie na zamianę. U mnie złodziejstwa nie ma. Dzieci uczą się i pracują. Mają co jeść i w co się ubrać. Zona również pracuje. Trzeba pracować, a nie patrzeć na lekki chleb. Mój ojciec i dziadek mieli gospodarzkę w Mietkowie. Krowy chowali, świnie, i żyli jak ludzie. Ja też z taborami nie wiończyłem się.

Zygmunta Rutkowskiego jest tak-sówkarzem. Jego żona, Maria, ukończyła szkołę zawodową, prowadzi dom i wychowuje dwóch synów. Jak odchowa dzieci, pójdzie do pracy. On uczył się w liceum ogólnokształcącym w Giżycku, ale nie ukończył.

— Lekkomysłny ten, kto nie dba o rodzinę. Jesteśmy małżeństwem od pięciu lat. Z początku trochę handlowałem. Cyganów-taksówkarzy jest w Polsce mało. Z tą nauką w liceum było tak: dokuczali koledzy, a i niektórzy nauczyciele. Chłopcy ze starszych klas wypychali pod stół i kazali szczebać, ale jakoś sobie z nimi dawałem radę, bo mam starszego brata; gorzej z nauczycielami. Ci mi naukę obrzydzili dokładnie. W Giżycku nie lubią Cyganów, choć przecież nie wszyscy są źli. W Łomży władze nam pomagają. Bez trudności dali mi koncesję na taksówkę, a ostatnio syn dostał miejsce w przedszkolu. Tu się leżę oddycha.

STANISŁAW TOMASZEK
Fot. BOGDAN BOROWIAK (KAW)

DROGI

cygańskie



Buchenwaldzie, a na koniec — w Erling koło Dory. Obóz był nad rzeczką, słupy z drutami stały w wodzie. Raz, już pod koniec wojny, był nalot; Niemcy zgasił światło, a wtedy we dwóch daliśmy nurka pod druty i uciekliśmy. Przez cztery dni chodziliśmy głodni. W końcu nocą poszliśmy do wsi. W kurniku złapaliśmy cztery kury i w wiadrze, co stało koło studni, chcieliśmy je ugotować. Wiadro zabrzęczało, wyskoczył z domu Niemiec i zaczął strzelać. Rzucili my te kury i w nogi, do lasu. Następną noc poszliśmy do jakiejś piwnicy. Nabrali my brukwi i kartofli w kieszenie pasiaków. Przy okazji zdjęliśmy ze sznura prześcieradła, zrobili z nich szaliki i owijaki na nogi. W lesie upiekli brukiew i kartofle, zjedli i posnęli. Rano znalazł nas Niemiec. Znowu my uciekali, ale brakło sił, tak i położyli się pod świerkiem. Za pół godziny przyszli Niemcy z karabinami, kolega uciekł, a mnie złapali. Zaprowadzili na posterunek żandarmerii, związali ręce postronkiem i przywiązali do słupa. Dokąd się starczyło, stałem, a potem wisiałem na rękach. Przywiązali mnie niżej, żebym mógł leżeć. Poprosiłem o chleb. „Nie wolno”. Ale przyszedł taki starszy Niemiec i rzucił mi w piach brukiew. Jadłem na leżąc, razem z piachem.

Potem zrobili przesłuchanie: „Czy to ty kradłeś kury?” „Nie”. „A gdzie ten drugi Cygan?” „Nie wiem, jestem sam”. Zaczęli mnie bić, męczyć, pytać w kółko. Postawili pod ścianą i grozili, że zastrzelą. Jeden strzelał koło głowy. Nie przyznałem się. Kazali się położyć i zaczęli bić szpadlem, straciłem przytomność.

oddał. Skazali mnie na sześć lat za to, że nie zameldowałem o tej broni. Wypuścili z amnestii w roku 1948. Pojechałem do Nieszawy i spotkałem kuzyna. Byłem bez pieniędzy.

Na Nowy Rok koledzy ulitowali się nade mną i wzięli na zabawę. Był na niej ten, który doniósł na kolegę. Podszedłem do niego: „Dlaczegoś to zrobił?” A on mnie pięścią w twarz. Zaczęła się bójka. Pobiliśmy go bez litości, w końcu uciekł. Po miesiącu aresztowali mnie i zawieźli do Skierniewic. Myślałem, że za pobicie, ale zarzucili mi napady z tym Cyganem, co wydał kolegę z TT-ką. Ja się nie przyznałem, więc zaczęli bić. Wtedy mówię: „Dajcie na oczy tych napadniętych”. Przyprowadzili kobiety. Jedna mówi: „Nie ten” i pokazuje Cygana, który napadł i to z jej byłym mężem. Druga też tak zeznała, ale nie uwierzyli. „Ona jest rozwódką i chce męża pogrzebać, więc zeznaje nieprawdę”. Znowu mnie zbili tak, że aż mi się strupy na piętach zrobiły. W sądzie matka pobitego Cygana powiedziała do niego: „Dlaczego niewinnych ludzi kopiesz? Ty nie jesteś mój syn”. Zmienił zeznanie, ale sąd nie uwierzył. „Przekupili cię Marcinkiewicz przeciw się przyznał”. Ja mówię: „Przyznałem się, bo mnie bili”. A sąd: „Świadki są?” Podałem na świadków Polaków, którzy mi pięty leczyli. Sąd odrzucił sprawę i zaczęli ponownie śledztwo, a mnie zawieźli do więzienia w Łodzi. Tych moich świadków z bicia już nie przeszukiwali. Na nową sprawę kobiety i Cygan zeznali, że ja nie brałem udziału w napadzie, ale sędzia powiedział: przekupieni, liczy się pierwsze zeznanie, i dał mi 12 lat. Wyszedłem po 6. Siedziałem

zbliżenia



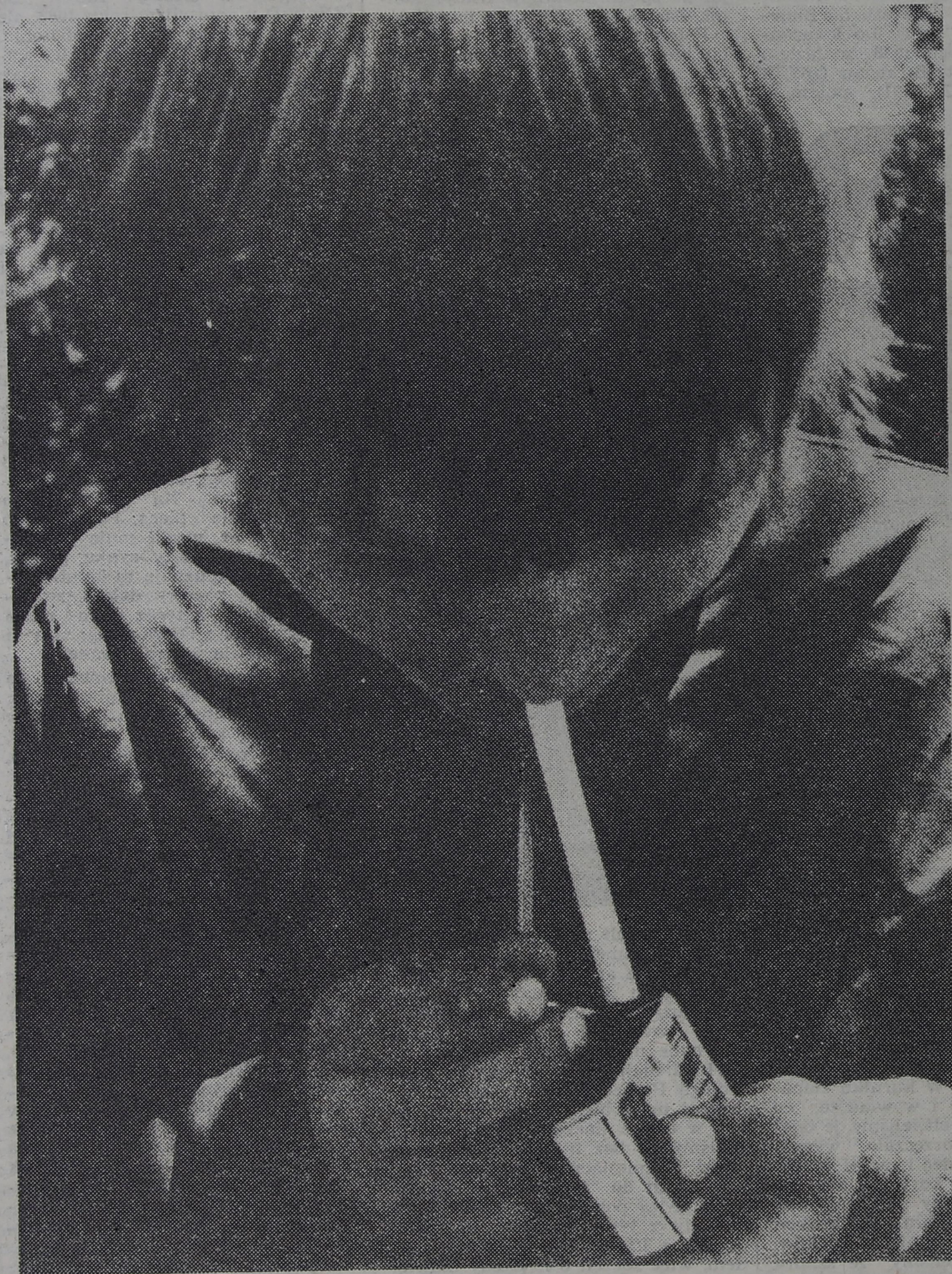
Jednak medycje w benzynowych oparach nie stanowiły dostatecznej atrakcji. Najmłodszy w towarzystwie, 9-letni Jarek, zgodził się na podpalenie swego buta po oblaniu go benzyną. Tego jeszcze nie było! Jego starsi koledzy ochotczy obłali nie tylko but, ale nogę i rękę. Paliło się porządnie. Jarek był w kombinezonie. Jego zewnętrzna strona z tworzywa naturalnego tliła się dość opornie, ale wewnętrzna, syntetyczna, natychmiast przyjęła ogień i dosłownie wtopiła się w skórę. Początkowo śmiechem reagowali na wrzask chłopca. Dość szybko jednak opamiętał się i zaczął gasić płomienie. Chłopak w ciężkim stanie został odwieziony do Białegostoku. Organizatorów i uczestników tej zabawy nie gryzą bynajmniej ciężkie wyrzuty sumienia.

Janek ma na koncie 70 kradzieży kieszonkowych i parę włamań. Jednak widocznie jest to za mało, żeby trafić do poprawczaka. Adam od roboty kieszonkowej również stroni mniej niż od chodzenia do szko-

Zabawa w chlewiku przy Armii Czerwonej nie była nadzwyczajnym spotkaniem, choć chłopcy z „trójki” zaprosili gości z „czwórki”. Nie po raz pierwszy zabawiali się w narkomanów. Jednak coraz trudniej o butapren – w sklepach pod tym względem absolutna posucha, a terroryzowanie malców przestało skutkować: przetrzęśli już w domach wszystkie kąty. Trzeba więc szukać środków zastępczych; ktoś zaproponował wdychanie benzyny, która – chociaż reglamentowana – jest łatwa do zdobycia.

przezywają mnie „Niemiec”, bo źle wymawiam. Ale ja się leczę, pani ze mną ćwiczy, a w domu mamusia. Jestem dopiero w czwartej klasie, bo mam kłopoty z nauką, i to ze wszystkimi przedmiotami; piszę tak, jak wymawiam. Musiałem się poprawić, bo mamusia choruje. Serce ją boli, jak się zdenerwuje i musi mnie bić za naukę, za wagary albo za to, że braciśzka nie pilnuję. Mamusia przeważnie leży w łóżku, a tatuś też chory, ale pójdzie teraz prywatnie do pracy. Ja chuliganielem – snuje dalej zwierzenia Robert – kiedy był Skowroniak, Gogoliński. Oni teraz w poprawczaku. Jak chłopaki namawiali, to wagaro-

zeszyty. A jak nie, to się mamusi ukradnie albo pety zbiera po ulicach. Chłopaki jeszcze klej wachają. Złe się potem czują; coś im tak jakby chodzi od góry do dołu, ale mówią, że to dobre, bo to narkotyki. Raz poszedłem do piwnicy pod sklepami „Akwarium” i też wachalem, ale tak mi gardło zatkało i głowa bolała, że więcej nie próbowałem. Wołę w piłkę pograć, z braciśzkami pobiegać, pójść z nim na lody. Chciałbym wszystkim pomagać. Uczyć się też bym chciał, tylko ta wymowa. A jak skończę szkołę, pójdę do roboty w browarze. Najbardziej mi się podoba rozwożenie piwa po sklepach.



wachanie szpanu

ły. Mamusia nie ma czasu na dopilnowanie go, bo popołudniami pracuje jako sprzątaczką, a w wolnych chwilach dorabia jako staczka kolejkowa. Obaj od kilku dni są już na wielkiej włóczędze. Trzeci prowadzący, Robert, jest dziś w szkole. Nie dał się przyjaciółom namówić na ucieczkę. — Namawiali mnie, ale nie poszedłem. Mój tatuś ich pogonił. Ja też nie chciałem, bo już przyrzekłem, że nie będę kraść. A na ucieczkę będą na pewno kraść, bo co będą jedli?

Robert nie robi wrażenia dobrze odżywionego. To chudziutkie maleństwo wygląda wprawdzie na ucznia czwartej klasy, do której — czasem — chodzi, ale ma już trzynaście lat. Mówi bardzo niewyraźnie, za to ładnie maluje swój portret biednego i grzecznego, lecz skrzywdzonego przez los dziecka.

— Bardzo lubię szkołę, ale czasem nie chodzę; dzieci są niedobre,

wale. Siedzieliśmy w parku albo wrzucaliśmy kamienie do rzeki. Na kradzieże chodziłem z Adamem i Jankiem. Pieniążki kradliśmy w sklepach, na targu. Ale ja nie umiałem, tylko stałem za sklepem i patrzyłem, czy pan milicjant nie idzie. Milicji się boję, bo do więzienia sadzają. Raz dostałem po rękach. Miałem sprawę za kradzieże. Powiedziałem wtedy w sądzie, że już nie będę kradł. Na pewno nie będę, bo przedtem mi mówili, że za moje kradzieże mamusia albo tatuś pójść do więzienia, a teraz mówią, że — sam swoje grzechy będę musiał odsiedzieć. Kolegę też mam nowego, Mirka; on jest z „ósemki”. Lubię go, bo mnie nigdzie nie woła. Cała ulica pali, tylko my z Mirkiem nie. No, nie mają chłopaki kartek na papierosy, ale się kupuje takie po 60, zagraniczne. Pieniążki daje mamusia czy tatuś, na kino, lody,

Gdybym nie widziała jego mamusi, zżeranę alkoholem i wstydliwą chorobą, rozwalonej na barłogu pod ścianą ulepioną z kurzu i brudu, a samego Roberta — rok temu — w akcji w barze, może zwątpiłabym, czy o tę samą rodzinę chodzi. Jego starszy brat jest w zakładzie w Ostrołęce. Po rozprawie za kradzieże przydzielono Robertowi kuratora. Wprawdzie dyrekcja szkoły uważa, że najgorsza matka bardziej jest potrzebna sercu dziecka niż najlepszy zakład wychowawczy, w tym przypadku wnioskowała jednak o pozbowienie tych rodziców ich praw do dzieci. Bezskutecznie. A kurator przecież nie ugotuje obiadu, nie upierze, nie napali w piecu. W tym, jak i w wielu podobnych przypadkach, na dobroczynny wpływ rodziny trudno liczyć. Zostaje szkoła i kurator. Przeważnie wychowawca nie zna kuratora, a kurator — wychowawcy, mimo że razem

tworzą wspólny front. Genialnie proste, lecz mizerne w skutkach rozwiązanie. Milicja zjawia się w tej szkole wprawdzie niezbyt często, ale częściej, niżby sobie tego wychowawcy życzyli.

W sali gimnastycznej ponad czterdziestu uczniów czeka na spotkanie z por. Stanisławem Grodzkim. Wizyta przedstawiciela KM MO ma dziś charakter wyłącznie profilaktyczny.

Por. Grodzki od razu spostrzega brak dobrych znajomych: — Nie widzę tu zbyt wielu ze starej gwardii. Ale rośnie nam nowa. Myślę, że jednak mniej groźna niż veterani. Wprawdzie zrobiliście tu ostatnio palenie na stosie, lecz poprzednio też były spektakularne historie, np. uczeń ucznia próbował powiesić w szatni. Martwi mnie, że naśladujecie kolegów z „szóstki” i zaczynacie wdychać pasty i kleje. Ze względu na stan wojenny takiego wachacza trzeba będzie mocniej ciągnąć za ucho.

Słuchacze są wyraźnie rozradowani; nie wiadomo, czy wizja kary, czy brzmieniem słowa „wachacz”. Por. Grodzki maluje więc ciemniejsze wizje przyszłości: — Wachanie pasty na długo nie wystarczy; zabraknie pasty, a i wy będziecie potrzebować mocniejszych rzeczy. Wypadnie coś ukrąść, a wtedy zobaczymy się na 22 Lipca, skąd wysła się za kratki. Niektórych waszych kolegów już to spotkało. Obudziła się w nich teraz tęsknota za domem rodzinnym, za szkołą, ale stamtąd nie ma łatwych powrotów. Do tej pory i tak mieliście szczęście, bo obowiązywały u nas sanacyjne przepisy. Niedługo wejdzie nowe prawo dla nieletnich. Nie będzie trzeba wielu psikusów, żeby milicja zajęła się delikwentem. Niestety, musiało do tego dojść, bo młodzież za bardzo się rozochociła, zbyt wielu przekracza Rubikon. Za moich czasów kłęczano się na grochu; metoda linijeczki też była bardzo skuteczna, szczególnie gdy dostało się kancikiem. A teraz macie kodeksy, które mówią, że uczeń w poniedziałek nie można pytać, bo może być na kacu po weselu lub imieninach. A jeśli sięgacie do tradycji, to tylko złych. Słyszałem, że się pozdrawiacie okrzykiem „Heil Hitler”. Zapytajcie najpierw rodziców, co to znaczy i ile dzieci zginęło w Łodzi czy Radogoszczu. Pierwszym symptomem tego, że dzieje się coś złego z któryś z was, jest wagarowanie i ucieczki z domu. Oglądanie wystaw sklepowych szybko się nudzi i wtedy wymyślicie coś takiego, żeby potępić was za pamiętali. Czasem pobudki bywają bardziej przyziemne: nie macie karteczek na papierosy, palić się chce i trzeba zrobić jakiś kiosk. A konsekwencje są straszne. Dlatego radziłbym się zastanowić, zrobić rachunek sumienia i wziąć się do nauki. I nie daj Bóg, jak mówią marksści, żebyśmy się zobaczyli u mnie w pracy. Wiem, że nie robicie ostatnio żadnych wielkich wyskoków, za co chciałbym pogratulować dyrekcji, wychowawcom i pani pedagog, ale drobne wygłupy też czasem doprowadzają do smutnych konsekwencji. Ciężko poparzony Jarek leży w szpitalu w Białymstoku, zaś rodzice Adama, Janka i Roberta będą płacić jednorazowe odszkodowanie, a może nawet i ciągle, jeśli chłopakowi pozostanie trwały uszczerbek na zdrowiu.

Ostatnio zapanowała niepokojąca moda na „anty”. Nie myślę tu — kończył swoje wystąpienie por. Grodzki — o partyzantce antypaństwowej, lecz o waszej arogancji w stosunku do nauczycieli i osób starszych. Brzydka jest ta ogólnolomżyńska moda na chamstwo. Powinniście ją zwalczać, a nie propagować. Ot, choćby teraz, gdy ja mówię, któryś z rodzimych chamów wydaje dziwne dźwięki, jakby szła transmisja prosto z obory. Na koniec chciałbym życzyć wam i sobie, żebyśmy się nie musieli tu więcej spotykać z okazji ekscesów, lecz jedynie na uroczystych apelach.

Na ilu z nich napadanka por. Grodzkiego wywrze pozytywny wpływ? Nawet gdyby miała pomóc jednemu — czas nie byłby stracony. Sami jednak uczniowie twierdzą, że wielu kolegów najkulteczniej wyleczyłoby serdeczne ojcowskie przetrzepanie portek, lecz są i tacy, dla których najodpowiedniejszym miejscem jest poprawczak.



— Szkoła im rady nie da — mówi ośmioklasista Marek. — Zakładają własne bandy, wciągają małe dzieci, robią im przeglądy kieszeni, pod groźbą pięści zmuszają do przyniesienia butaprenu, papierosów, czasem herbaty. Pół szklanki fusów zalewają wodą i chodzą po tym nieprzytomni. W szkole teraz mniej kradną, w kotłowni nie mają czego szukać, ale w ubikacji na gorze nie raz można znaleźć foliowe torebki z resztkami butaprenu. Modne jest też branie lekarstw. I wygodne, bo nawet w szkole można się łatwo naćpać. Maciek kiedyś przesadził: połknął tyle relanium, że dostał szalu i dyrektor sprowadził pogotowie. Płukali mu żołądek. Wchodzi też w obieg ekstrapapierosy: jak się takim kilka razy sztachniesz, to już tylko od krzesła szybko nie oderwiesz.

Kiedyś licealiści szpanowali papierosem. Teraz sześciolatnia dziewczynka z „zerówki”, zapytana, co zrobiła z piąteczkami, które ukradła, odpowiada: — Kupiłam kilka paczek papierosów i spaliłyśmy je z Gośką.

Moda na kradzieże prowadzi prosto za kratki. Zaczyna się od kilku słoików kompotu i flaszek wina z piwnicy sąsiada, a potem — przez osamotniony rower i kiosk „Ruchu” — dochodzi do zuchwałych włamań i napadów rabunkowych. Efemerycznym zjawiskiem mody nazwać można by jedynie hippisów, gitowców, pankowców, wyróżniających się specjalną filozofią życia, sposobem bycia i rodzajem ubioru. W łomżyńskich szkołach w zasadzie nie ma już pankowców. Pozostały jedynie ślady po agrażkach i przypalonych papierosem znakach na skórze. Ośmioklasista, który jeszcze rok temu obnosił swój ekstrawagancko obszarpany strój, dziś nie tylko paraduje w czystym i gustownym ubraniu, ale także ze zdziwieniem marszczy brwi na pytanie o bandę. Stański: — Coś podobnego. Nie mam żadnej bandy. Może kiedyś coś tam było, ale dawno temu. O panki pewnie chodziło. Zostawiłem, chociaż to nie złego. Czytałem, że ten Pank to bardzo spokojny człowiek, ale wszyscy się oglądali i śmiali, że jestem śmieciarz.

Może dlatego przerzucił się na wachanie. Zaprzecza wszystkiemu: ępać nie może, bo słabuje na serce. Raz spróbował, samotnie, we własnej piwnicy, z powodów czysto poznawczych. Jego najbliższy przyjaciel, Staszek, też wahał jedynie raz i też indywidually. Z panka została mu tylko sterząca czupryna i „sznity” na rękach, które tłumaczy upadkiem na drut kolczasty. Jego matka chyba nie podejrzewa ani tego, ani innych „upadków”. Ich dom to oaza spokoju: czystutki, zadbane; firaneczki, serweteczki, bibelotki i laleczki w kromchmalonych sukienkach między poduszeczkami na tapczanie. Jego siostrzyczka może czuje się dobrze w tym kolorowym światku, ale on swobodnie odycha dopiero na ulicy.

Ulica jest azylem dla dzieci wychowywanych w norach, brudach i melinach. Nie brak ich w ruderach trójkąta ulic Armii Czerwonej, Wojska Polskiego i 1 Maja. Ulice stają się też schronieniem dla znudzonych pociech z „akwarium”. Ani te, ani też dzieci z „porządnymi” domów nie chodzą na pływalnię, boisko, do klubu czy świetlicy osiedlowej, bo takowych w Łomży po prostu nie ma. Ich rodzice, w nawale pracy i trosk życia codziennego, realizują przede wszystkim własne potrzeby i ambicje, a rozbudzanie zainteresowań swoich latorośli zostawiają szkole lub środowisku. Z reguły za późno orientując się w ich niepożądanych fascynacjach.

Ojciec Janka Gogolińskiego — na przykład — milionami obraca, matka od 5 lat w Stanach. Za darmo nie siedzi. Janek uczył się bardzo dobrze; do czwartej klasy nawet jednej trójki nie miał. Potem skumplował się z Ikonowiczem. Ukradł ojcu 150 tysięcy i zafundował sobie oraz kilku przyjaciółom wakacje. Kradł wcale nie z konieczności, lecz dla fantazji. W kofcu przytrafił mu się rabunek z napadem, podczas którego o mało nie zabił człowieka, więc siedzi w zakładzie wychowawczym. Jego przyjaciel, wódz nr 2, też miał tam skierowanie, lecz miejsce zabrakło. Teraz szkoła jest przekonana, że chłopak przebywa w zakładzie, a on nadal szlifuje łomżyńskie bruki.



Szkole informuje się skąpo o tym, co się dzieje z jej wychowankami, szczególnie gdy w napadzie, włamaniu czy kradzieży weźmie udział dziecko ze „szlachetniejszego” rodu. Jak takie fakty wpływają na dzieci — łatwo się domyślić. Młodzież jest szczególnie uwrażliwiona na sprawiedliwość; nawet w drobniactwach. Ten motyw powraca wciąż w rozmowie z dwoma „prowodyrami”. Krzysztofem i Markiem, reprezentantami szkoły w zapasach.

Marek zaprzecza: — Jaki tam ze mnie prowodyr? Tak się ustaro, bo od lat jestem podpadnięty za kilka wyskoków. Teraz jak ktoś komuś wleje, nikt tego nawet nie zauważy, ale jeśli ja dołożę, zaraz widzą. Nauczyciele nie dostrzegają niedobrych rzeczy, które się dzieją. Na przykład, w sportowej klasie, bo tam są przecież przodujący uczniowie. Ale oni przodują też w wachaniu i tak dalej. Mają jednak tatusiów inżynierów, milicjantów, wojskowych, a więc poza wszelkim podejrzeniem.

Krzysztof często przynosi szkole chlubę: zdobył mistrzostwo Polski w zapasach w ubiegłym roku, uratował dziecko z pożaru, mocno się angażuje w prace społeczne, a jednak...

— Uczniowi pamięta się przede wszystkim złe rzeczy. Nie jestem chuliganem, ale bardzo nerwowym człowiekiem; jak mnie coś zdenerwuje, nie panuję nad sobą i wtedy odzywam się nieładnie do nauczyciela albo komuś przykładem. Niespokojnych kolegów też chciałbym wciągnąć do sportu, ale nie każdy się nadaje; trzeba wytrwałości i charakteru. Niektórzy przyszli za ledwie raz, obrobili w szatniach kieszonki i tylko się wstydu najedliśmy. Markowi dwa razy zegarek ukradli. Myślę, że nie ma na nich rady.

Ich rówieśnice z samorządu szkolnego znajdują bardzo przemyślane odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak źle się dzieje z kolegami.

— Zawsze jest kilku przywódców. Gdy byłem w trzeciej klasie, panował tu wielki chłopak, który wszystkich bił i zabierał kanapki.

— Szpan zaczyna się na pewno w środowiskach biedniejszych. Zaniebane dzieci czują się gorzej, a na dodatek nauka im słabiej idzie. Wiadomo, że każdy chce być znany i popularny. Na pozytywne uznanie nie mają szans, zaczynają być agresywni w stosunku do młodszych kolegów, dziewczyn, arogancy w stosunku do nauczycieli. Do dobrego tonu należy u nich nienoszenie zeszytów, przyborów, manifestacyjne lekceważenie dwój. Potem dochodzą „męskie” sprawy: papierosy, kradzieże itp. Są

silni w bandach, pogardzają lalusiami i kujonami. Niektórzy z „dystygowanych” rodzin też załapują się na ten szpan. Rodzice nie potrafią czy nie mają czasu zainteresować ich muzyką, sportem, fotografią lub harcerstwem, nudzą się więc i szukają mocnych wrażeń.

— Wycofać nie bardzo mogą, bo już czują się nieswojo w „kulturalnej” grupie, a w bandzie zaczynają być podejrzani o zdradę.

— Dziewczyny wchodzące w złe towarzystwo stanowią margines. U nas jest ich zaledwie kilka; przesiadują zresztą w tej samej, co i chłopcy, cygańskiej melinie. Oni nie są zachwyceni, że koleżanki poznają dorosłe życie bez nich, więc nie bardzo je akceptują.

— Nas ratuje przed złym wpływem fakt, że z reguły jesteśmy bardziej pracowite i lepiej się uczymy, a więc mniej mamy kompleksów do leczenia. Poza tym liczymy się z opinią innych, głównie koleżanek. Żadna z nas nie chce narazić się na złośliwe szeptki. Chłopcy, niestety, z naszą opinią mało się liczą.

— A jednak bardziej interesuje ich to, co my o nich myślimy, niż nauczyciele. Dlatego sądzą, że jeżeli ktoś może wpłynąć pozytywnie na „zagubione owieczki”, to tylko klasa.

— Rodzice też, nauczyciele dużo mniej. Bo i kiedy mają wychowywać? Na przerwach? Dobrze byłoby, gdyby przynajmniej ciekawie uczyli.

— Chłopcy podpisują się przed nami byle czym, każdym nowym pomysłem, aby tylko imię „wynalazcy” powtarzała cała szkoła. Ostatnia nowość Iksa: papierosy z herbaty; wspaniała zabawa Igraka: oblewanie wodą ze strzykawek lekarskich, wyciągniętych ze śmietnika przy szpitalu zakaźnym, itp.

— Uważam, że ich postępowanie to wyraz szukania sensu istnienia. Maciek, na przykład, jest bardzo zdolny, ocytany, zna się na muzyce, interesuje go historia. Ale przychodzi bez teczki, rozciągnie na ławce i mówi: dlaczego teraz męczą mnie nauką, aby potem zadreczyć robotą? Czy tak można całe życie? Gdyby jednak znalazł kolegę lub koleżankę pełną optymizmu i energii, zaraziłby się jej zapałem i sens życia by się znalazł. Myślę, że najważniejszy jest wzajemny stosunek ludzi do siebie, umiejętność pozyskiwania przyjaciół; wszystkie inne problemy są wtedy do rozwiązania.

DANUTA WRONISZEWSKA
Fot. GABOR LÖRINCZY

kontakty kontaktów

7
KONTAKTY
13 VI 1982

Martwi mnie, że we wszystkich dotychczasowych wspomnieniach o Wiesławie Sielskim zapomniano o sprawie, której przez osiem miesięcy ubiegłego roku poświęcił większość wolnego czasu, a do końca — swoje myśli. Sprawą tą była adaptacja obiektu KW PZPR w Łomży przy Szosie Zambrowskiej na Wojewódzką Przychodnię Specjalistyczną.

W obliczu śmierci Wiesława nieistotne są spory na temat, kto bardziej angażował się w tę budowę: administracja czy Społeczny Komitet Adaptacji Budynków, którego Wiesław był przewodniczącym. Trzeba oddać Mu sprawiedliwość.

Byłam świadkiem wszystkich zabiegów Wiesława, by to, co w pierwszej chwili wydawało się niemożliwe, zmieniało się w realne. Widziałam, jak znikwały bariery formalno-prawne pod wpływem spokojnej argumentacji Wiesława. Widziałam, jak łagodniały konflikty na wielkiej budowie, gdy wkraczał Wiesław ze swoją serdecznością i wyrozumiałością i — nade wszystko — ze swoim widzeniem spraw, oddzielającym ziarna od plew. Najczęściej ukrywając się pod ochronną barwą dowcipu sytuacyjnego, działającego prawie na wszystkich, z wyjątkiem chorych na brak poczucia humoru, wspierał urzędową działalność inwestora i wykonawcy. Wiele osób otrzymało w prezencie Jego medale, bo Wiesław w ten sposób wyrażał im wdzięczność za rozwiązywanie różnych problemów budowy przychodni.

To On przekonał projektanta, że trzeba „na wczoraj” wykonać projekt adaptacji pierwszego etapu budowy. To On, gdy trzeba było usuwać piętrzące się trudności, był zawsze do dyspozycji kierownika budowy. To On codziennie był z tynkarzami, glazurarzami, murarzami i cieszył się z każdego fragmentu dobrze wykonanej pracy.

Nawiązując do wspomnień pióra Henryka Galy: „I wiatr, i wicher, i wichura”, zamieszczonych w „Kontaktach” nr 8, pragnę potwierdzić zdanie autora, iż Wiesław Sielski swoją działalność w Łomży skierował na rzecz spraw wspólnych, publicznych, społecznych.

ZOFIA KOZIOŁOWA
Łomża

★

Z licznych informacji, napływających do Zarządu Wojewódzkiego Związku Inwalidów Wojennych i Zarządu Koła Związku Inwalidów Wojennych PRL w Łomży wynika, że inwalidzi wojenni, zaopatrujący się w opał w składzie opałowym w Łomży, kierowanym przez ob. Witolda Terepko, załatwiani są wyjątkowo życzliwie.

Ten bezinteresowny, humanitarny i serdeczny stosunek do ludzi niepełnosprawnych, którzy swoje zdrowie stracili w obronie ojczyzny, zasługuje na szczególny szacunek.

W związku z powyższym, za pośrednictwem „Kontaktów”, składamy kierownikowi składu opałowego w Łomży najserdeczniejsze podziękowania i życzymy dalszych sukcesów w pracy zawodowej.

ZYGMUNT DŁUŻNIEWSKI
Prezes Zarządu Koła ZIW w Łomży
LEOPOLD DŁUGOSIELSKI
Sekretarz Zarządu Koła ZIW PRL w Łomży



DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

leciu dość skutecznie eliminowała ją z życia społecznego zasada jednomyślności; zasada absurda, gdyż niemożliwa do urzeczywistnienia. Tolerancja nie może iść w parze z jednomyślnością, choćby ta ostatnia istniała tylko w chorej wyobraźni, zwłaszcza jeśli wyobraźnię taką posiadałaby władza. Drugim biegunem tej problematyki są granice tolerancji. Prędzej czy później paś musi bowiem w praktyce pytanie: tolerancja wobec wszystkich i wszystkiego?

HENRYK JANKOWSKI: — Zgoda. Ale o ile często jesteśmy skłonni tolerować różnorodność poglądów nawet wówczas, gdy sami jesteśmy rzecznikami — jak nam się wydaje — jedynie słusznego, to odmienność natury obyczajowej, moralnej, nadal jest nierzadkim powodem do naszej ingerencji w życie innych ludzi. Człowiek prowadzący życie rodzinne w strukturach odbiegających od przeciętnych standardów i stereotypów może być w najlepszym przypadku tolerowany, prawie nigdy natomiast nie jest akceptowany. Ktoś jest tolerowany, tzn. — ja coś znoś, jestem wielkoduszny. Trudno też mówić o tolerancji izolując ją od innych problemów współżycia i — co najważniejsze — sytuacji, jaką gotuje rzeczywistość. Przecież do niedawna partia mówiła: znośmy, tolerujmy innych; tamci jeszcze do nas nie dorośli. Dziś sytuacja się zmieniła. I tu powstaje kwestia następna: kto ma mówić „ja toleruję”; kto ma o wspomnianych granicach tolerancji orzekać. Niektóre tylko sprawy mają charakter oczywisty; nie będziemy nigdy tolerować zbrodni itp.; są jednak dziedziny życia, w których jednoznaczne określenie, czy granice tolerancji zostały już przekroczone, jest niezmiernie trudne lub wręcz niemożliwe. Jednocześnie nie możemy mieszać tolerancji z zasadą zabraniającą jakiegokolwiek oceny czy nawet interwencji w stosunku do działań bliźniego. Jeżeli rozumiem i szanuję obce poglądy, to nie może z tego wynikać, iż nie mam prawa poddać ich krytyce, przeciwstawiać im własnych, sformułować własnej oceny, sam, oczywiście, również poddając się ocenom innych.

ZBIGNIEW SIEDLECKI: — Chcę zwrócić uwagę na istotne, moim zdaniem, zagadnienie: kiedy manifestuje się tolerancja. Otóż wydaje się, iż znacznie łatwiej być tolerancyjnym wobec tego, który mieszka dwie ulice dalej, niż mieszkającego wspólnie z nami. I szerzej — mówi się często o tolerancji z przymiotnikiem „polska”. Odnosi się to do tego okresu historycznego, w którym na naszych ziemiach dosyć, jak na ówczesną Europę, zgodzie współżyli z sobą ludzie różnych wyznań. W pewnym sensie była to tolerancja przypominająca znoszenie poglądów i zachowań mieszkającego owe dwie ulice dalej; szlachcie w swoim dworze mógł robić, co uważał za stosowne, i niewiele mu przeszkadzało, iż jego sąsiad czyni akurat coś innego. Jeśli jednak słowo „tolerancja” odniesiemy do ludzi żyjących i załatwiających swoje interesy w grupach społecznych, musimy przyznać, że o tolerancję w jej obrebie już znacznie trudniej. Wyraźnie dostrzec możemy to obecnie.

KLEMENS KRZYŻAGÓRSKI: — W naszej świadomości zbiorowej rzeczywiście istnieje stereotyp: Polacy są narodem tolerancyjnym. Na potwierdzenie przywołujemy historię. Zdaje sobie sprawę, że i dzisiaj nie uda nam się uciec od tego obszaru doświadczeń — w końcu to one ukształtowały naszą osobowość społeczną — ale jeśli w przeszłości mogliśmy się wylegitymować tolerancyjnością, musimy pamiętać, iż dotyczyła ona głównie sfery ideologii. W tym szczególnym miejscu w Europie, w kraju o granicach przesuwanych raz na wschód, to znowu na zachód, w kraju etnicznie i wyznaniowo heterogenicznym, mogliśmy znosić wyznających inne wiary w świat nadprzyrodzony. I to, sądząc, zostało nam po dzień dzisiejszy. Znacznie trudniej natomiast znosić nam było, objawiający się w potocznych zachowaniach czy wzajemnych kontaktach, obyczaj. Tu nie da się, niestety, ukryć pławienia kobiet posadzonych o czary czy stosów, na których skwierczały ich

ciała. Również obecnie niektóre z zachowań politycznych budzą gwałtowne reakcje oporu. Na przykład dzisiaj niełatwo jest głosić poglądy niekonformistyczne. Nasz „pluralizm” stał się hasłem, które ma w sobie wmontowaną wybiórczość — preferuje poglądy i zachowania różne wobec władzy, kontestujące państwo i tę doktrynę, która stanowi jego ideologiczne podłoże.

GŁOS Z SALI I: — Proponuję nieco odmienne spojrzenie od prezentowanego dotychczas. Uważam bowiem, że każda ideologia, a więc i religia, i polityka, są nietolerancyjne z samej natury rzeczy. Muszą być ekspansywne, gdyż inaczej grozi im samozagłada. Mówienie więc o znoszeniu poglądów, o akceptacji,

kracją i sądzę, że dobrze byłoby poszerzyć rozważania o ten drugi człon.

GŁOS Z SALI III: — W dyskusyjnym ferworze utonęło niezmiernie ważne zagadnienie granic tolerancji. W technice (ta, z którą się stykam, nie jest wielka, gdyż wyrobiam trumny) wszystko jest jasne. Jeśli nieboszczyk mierzy metr osiemdziesiąt, mogę mu zrobić trumnę dwumetrową. Jeśli dołożę do tego niepotrzebnie pięćdziesiąt centymetrów, zmarnuję materiał. Ale kiedy przytnę deski na metr siedemdziesiąt, — będzie nieużyteczny bubel. W życiu społecznym te oczywistości zastosowania nie mają; gdzie zatem kończy się tolerancja, a zaczyna... głupota?



wydać mi się oderwane od rzeczywistości. Tolerancja zatem to nie znoszenie, lecz taka forma walki poglądów, konfrontacji ludzkich postaw, która nie wykracza poza przyjęte w danym społeczeństwie reguły.

HENRYK JANKOWSKI: — Owszem, tolerancja polega na prowadzeniu dyskusji, sporów, konfrontacji postaw w ramach obyczajowo przyjętych, ale trzeba pamiętać, iż zarówno owe spory, dyskusje czy konfrontacje mogą odbywać się na zasadzie tolerancji, jak i jej wykluczenia.

STANISŁAW EHRLICH: — O tolerancji i nietolerancji mówić trzeba na pewnej płaszczyźnie. Mogą nią być wspólne wartości podstawowe. Przywołajmy konkretny przykład: w krajach, gdzie toczy się normalna walka polityczna (u nas dopiero poszukujemy jej dróg), chcąc wytrącić przeciwnika z ośrodka decyzyjnej politycznej, czyli odebrać mu władzę, nie przekreśla się wartości jawnie uznanych jako wspólne. Na Zachodzie jest to uznanie prywatności środków produkcji. Mówiąc zatem o tolerancji musimy poszukiwać tego, co nas łączy. Brak publicznego określenia tego, co wspólne i nienaruszalne, rodzi nastawienie konfrontacyjne.

GŁOS Z SALI II: — Wydaje mi się, że trochę przesadzamy potakując zgodnie: tak, tak, jesteśmy narodem tolerancyjnym. Dotyczy to zwłaszcza ostatnich trzydziestu kilku lat. Jeśli nie było demokracji, nie mogło być przecież tolerancji. W tej chwili rzeczywiście mówimy o niej głośno. Tolerowany jest Kuroń i „Rzeczywistość”, tolerowany był Bratkowski, nie jest Moczułski. Sumując: widzę niezmiernie silny związek między tolerancją a demo-

STANISŁAW EHRLICH: — Jeśli pominiemy głęboki rozłam na rządzących i rządzonych, a weźmiemy pod uwagę tendencje pewnych grup społecznych, które do czegoś dążą, problem jest również dość prosty: granicą tą jest anarchia.

HENRYK JANKOWSKI: — Rozumiem, iż jest ona granicą jedynie wówczas, gdy chodzi o różnorodność ideologiczną, popartą działaniami organizacyjnymi. W innych dziedzinach określić ją należy jednak inaczej.

KLEMENS KRZYŻAGÓRSKI: — Anarchizowanie życia społecznego stwarza ogromne niebezpieczeństwo zarówno dla tolerancji, jak i dla demokracji. Dlaczego? Od lipca-sierpnia tego roku obserwujemy zjawisko społeczne, które wymyka się i władzy, i opozycji. Ta nowa kategoria zbiorowości społecznej, którą nazwałbym umownie „ulicą”, nie poddaje się żadnej kontroli i perswazji, a rośnie w miarę tego, jak wzrasta społeczna frustracja. Taka zbiorowość szybko ulega anarchizacji, a jednym z jej przejawów może stać się agresja. Agresja zaanarchizowanej ulicy najeźdźcą jest niekierunkowa. Uderza ona w tzw. syndrom władzy, ale wybiera sobie również kolejne cele zastępcze; często uderza w siebie. Nie jest też możliwe pomierzenie lub przewidzenie siły destrukcyjnej „ulicy”. Bardzo często zależy ona bowiem nie tylko od wielkości skumulowanej frustracji, ale od sytuacji, okoliczności i ich zbiegów, a wreszcie od elementu prowokacji. To nie wszystko. W społeczeństwie, którego frustracja przekroczyła granice wytrzymałości, łęgnie się taka oto idea: przyszedłby ktoś, wziął to silną ręką, wprowadził porządek. A więc rodzi się marzenie o kimś, komu damy consensus, i on wszystko za nas załatwi. Mój redakcyjny kolega, zrozpaczony tym, co niesie na-

sza „ulica”, spytał mnie: słuchaj, czy w tym Sulejówku nikogo dziś nie ma? Można się spotkać z tym rodzajem tęsknoty w długich kolejkach, które wypełniają dziś polską ulicę.

GŁOS Z SALI IV: — Możemy więc teraz postawić dwa pytania: dlaczego doszło do owej głębokiej frustracji społecznej? I czy starsze pokolenie nie było zbyt tolerancyjne wobec niekompetencji, niewiedzy, niemoralności administracji? Przyszłość od razu, iż między tymi, pozornie odległymi, sprawami widzę dość mocny związek.

ZBIGNIEW SIEDLECKI: — Musimy zdawać sobie sprawę, że stosunkowo łatwo zbuntować się przeciw złu, jeśli występuje ono w formie niejako nagiej. Tymczasem to, z którym mieliśmy do czynienia w ostatnich latach, przybrało postać szczególną: im bardziej naruszano ideały, tym głośniej ci, którzy to czynili, obnosili się z nimi. Należy też zapytać, jaką wartość ma protest indywidualny? Owszem, bywa niekiedy efektowny, ale niczego nie jest w stanie naruszyć. Tolerancja wobec zła, którego byliśmy świadkami, wynikała głównie z tego, że starsze pokolenie, mimo prób, nie potrafiło nadać protestowi społecznego wymiaru.

HENRYK JANKOWSKI: — Wiążą się z tym jeszcze dwie inne sprawy. Otóż zdarza się często, że nasze indywidualne poczucie odnotowujemy jako słusznie zadawalające: nie mam sobie nic do zarzucenia, mogę się z własnego życiorysu rozliczyć bez wstydu. Gorzej natomiast, gdy rzecz ujmijemy generacyjnie; tu pola do chwały rzeczywistości nie mamy. Skąd to się wzięło? Może z niewydolności intelektualnej, z braku wyobraźni socjologicznej — nie wiem. Pewne jest jedno: nie wszystko leży w zdolnościach najbardziej genialnego i pracowitego człowieka; jego możliwości skutecznego działania są wypadkową nie tylko wiedzy, umiejętności osobniczej ale i warunków, w jakich funkcjonuje.

GŁOS Z SALI V: — Niewątpliwie ważna jest ocena minionych lat, niemniej jednak istotniejsze jest chyba wyciągnięcie płynących stąd wniosków, po to, by wreszcie wypadkowa możliwości wynikających z kondycji, zdolności i uwarunkowań była jak najkorzystniejsza. Na cechy osobnicze wielkiego wpływu nie mamy, pozostają zatem warunki. Niestety, nadal, oprócz werbalnych zapewnień, nie widzę, by w tej mierze ruszyło coś z miejsca. Ciagle „poszukujemy”, „zdajemy egzamin”. Teraz głośno o Froncie Porozumienia Narodowego: „jedyna, ostatnia, bezałternatywna szansa”. Stawia się jednakże tyle wstępnych warunków „dopuszczających”, że w końcu mogą się w nim znaleźć partnerzy, którym, jak dawniej, odpowiadał będzie z góry założony program. A moim zdaniem — można do niego dojść jedynie wspólną mądrością.

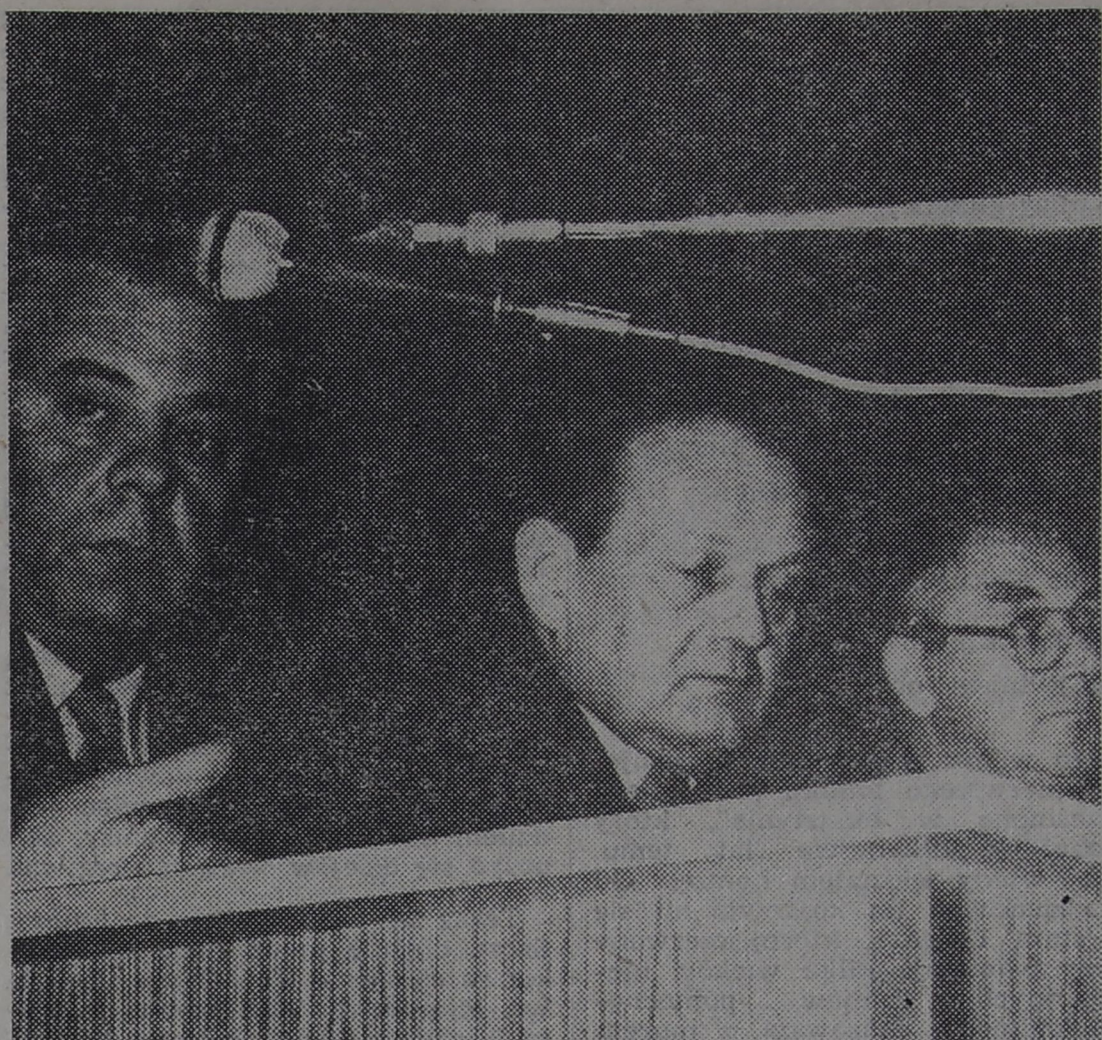
KLEMENS KRZYŻAGÓRSKI: — Ja naprawdę jestem za demokracją! Chciałbym jednak, abyśmy sobie uświadomili, iż jej samoregulująca funkcja ani w historii, ani współcześnie, wszystkiego załatwić nie zdołała i nie zdoła. Możemy się tu odwołać do demokracji starogreckiej: Hermodora wypędzono demokratycznie z Efezu za to, że był najlepszy spośród obywateli. Sokratesa skazano na wypicie cykuty za to, że ośmielił się wątpić. Demokracja nie pozwalała wówczas, by ktoś był ponad „równymi”. A obecnie? Właśnie jestem po lekturze zbioru reportaży, które nadesłano do redakcji „Kontaktów” na konkurs „Boryna 81”. Jest w nich los współczesnej wsi polskiej: autorzy zarejestrowali, między innymi, powoływanie samorządów wiejskich. Utkwił mi w pamięci taki przykład: jest wieś, a w niej do sprzedania dziesięć hektarów ziemi z PFZ. Komu przydzielić, po ile — rozstrzygnąć ma samorząd. Naczelnik, którego głos traktować można jako do-



radezy, proponuje: dać trzem rolnikom po trzy hektary z kawałkiem. Stanowisko samorządu jest inne: jeśli damy trzem, mamy niemal całą wieś przeciw sobie; dziesięć hektarów podzielimy na dziesięciu. Naczelnik jeszcze oponuje: przecież w ten sposób same miedze zajmą spory kawał dobrej ziemi. Samorząd dzieli jednak tak, jak wcześniej zamysłili. Z ekonomicznego punktu widzenia — choć wszystko przebiegało demokratycznie i sprawiedliwie — jest to decyzja błędna. Samorząd w tej wsi nie stał się więc sposobem na racjonalne gospodarowanie ziemią. Inny autor zapisał sytuację jeszcze prościej: samorząd, który miał przydzielić traktory, przyznał je po prostu sobie. Być może każdemu z członków komisji przydzielił się należał, nie zwalnia to jednak od pytania, czy praktykowanie demokracji bezpośredniej nie będzie rodzicem partykularyzmów, grup osobistego interesu?

GŁOS Z SALI VI: — Demokracja, jak widać, nie jest panaceum na wszystko. A więc i Front Porozumienia Narodowego wcale nie musi okazać się złotym środkiem.

KLEMENS KRZYŻAGÓRSKI: — Muszę powiedzieć, iż te „frontowe” postulaty przyjmuję z ogromnym sceptyzmem. I trwał on będzie we mnie tak długo, dopóki nie ustalimy, jaką cechę ten Front ma mieć i jakie muszą być jego niezbędne elementy, aby mógł on zaistnieć społecznie. Spróbujmy je zatem ustalić. Po pierwsze — musi zaistnieć „sytuacja frontowa”, czyli taka zewnętrzna, obiektywnie dana sytuacja, która frontu wymaga. Powstaje ona wówczas, gdy duża grupa społeczna pragnie zdobyć władzę albo ją utrzymać, a nie ma większości w społeczeństwie. Dwa: musi być inicjacja owego przedsięwzięcia i instytucjonalny inicjator — siła społeczna, która z taką ideą wystąpi i posiada realne możliwości jej urzeczywistnienia. Zrobiła to partia na Nadzwyczajnym Zjeździe, gen. Wojciech Jaruzelski — w Sejmie, Stefan Olszowski — w swym wystąpieniu telewizyjnym. Trzy: musi być



hegemon frontu. W warunkach polskich może nim być tylko partia marksistowska, bo tylko ona zapewnia frontowi charakter ludowy, tylko ona może określić cel strategiczny frontu i tylko ona posiada consensus międzynarodowy. Cztery: musi być operacyjny cel frontu. Musimy znać odpowiedź na pytanie: po co dziś front tworzymy? Cel ten musi być wynegocjowany. Czy mamy taki wspólny cel? Tak. Może nim być przetrwanie zimy. Albo odbudowa etosu pracy. Albo utrwalenie rozumnej demokracji. Dalej — musi być wzajemna cesja członków frontu. Co to znaczy? To, że partia musi zrezygnować z tezy, iż „udział w rządzie nie oznacza udziału w rządzeniu”. Musi rozszerzyć społeczną bazę rządzenia. Bez wzajemnych cesji tych wartości, jakimi się dysponuje, nie ma frontu. I ostatni warunek: muszą być uczciwie realizowane wzajemne świadczenia. Znaczący to, że trzeba się dogadać, co mamy sobie wzajemnie do zaoferowania i ile, a przyjętych ustaleń ściśle przestrzegać. W naszych warunkach zarysowały się trzy główne siły ewentualnego frontu: Zw. Zaw. i Kościół. Partia ma do zaoferowania niemało — część swej władzy, którą dotychczas monopolizowała. Zw. Zaw. powinna zaoferować przynajmniej rezygnację z tej części swego elektoratu, która organizuje dzikie strajki i inne akcje protestacyjne. Co może zaoferować Kościół?

GŁOS Z SALI VII: — Partia ma władzę. Kto jej tę władzę dał, kto dał jej prawo do konstytucyjnego wymuszania kierowniczej roli.

KLEMENS KRZYŻAGÓRSKI: — W polityce mówi się o faktach, a to, iż partia władzę posiada, jest faktem!

GŁOS Z SALI V: — Chciałbym przypomnieć, że w 1956 roku kardynał Stefan Wyszyński zwrócił się przez swoich biskupów i kapłanów, by społeczeństwo podczas wyborów poparło kandydatów FJN. Czy apel ten nie miał żadnego znaczenia? Myślę, że jest to wystarczający dowód na to, co Kościół może zaoferować. Protestuję więc przeciwko takiemu stawianiu sprawy, bo wówczas okaże się, że nie mamy przed sobą żadnej perspektywy. Przed chwilą kwestionowane było posiadanie władzy przez partię, wcześniej — znaczenie Kościoła we Froncie, skoro niewiele może dać. Czy o to chodzi, by sobie wzajemnie zaprzeczać, czy też o to, by w ramach układu, który jest, wykorzystać

wszystkie tkwiące w nim możliwości dla wspólnego dobra?

GŁOS Z SALI III: — Odszkodźmy pozornie dość daleko od tematu. Pozornie, bo mówiąc o demokracji musimy wpisać w nią i tolerancję. Chciałbym jednak wrócić do wyjściowego zagadnienia i zadać pytanie: kto ma prawo ustalać granice tolerancji?

GŁOS Z SALI VIII: — A kto ustala prawo? Po odzyskaniu niepodległości w roku 1918 i przejęciu władzy przez Piłsudskiego uczynił to jego obóz, ale prawa te inne były dla korzystających z tomżyńskich suterien, inne dla posiadaczy wielkich wili. Po roku 1944 prawa ustanowili również ci, którzy przejęli władzę. I prawo było takie, że tam, gdzie chodziło o poglądy — o to, by postępowanie władzy było wektorem oczekiwań całego narodu — tolerancja nie zawsze istniała.

GŁOS Z SALI IX: — Znowu, niemal podświadomie, pytając o granice tolerancji — o to, kto je ustala, kto ustanawia prawo, kto kogo toleruje — krążymy wokół zagadnienia: prawo a partia. Jest to uwaga po to, by rzecz wreszcie poruszyć i nie wracać do tego przy każdej dyskusji, niezależnie od jej tematu. Tolerancja zaś może być, moim zdaniem, tylko wtedy, gdy odnosi się do całego społeczeństwa.

STANISŁAW EHRlich: — Chcę dobitnie, wobec różnorodności stanowisk w tej kwestii, podkreślić jedną rzecz: tolerancja jest wykwitem kultury narodowej! I nikt nie ma prawa powiedzieć: tu są granice tolerancji, a tam je już przekroczyłeś. [...] Zdajemy dziś wielki historyczny egzamin właśnie z demokracji i tolerancji. Redaktor Krzyżagórski zastanawiał się co może oddać Frontowi partia. Jako członek „szeregowiej piechoty” partyjnej muszę się zastanowić, co rozumiemy przez partię. Czy ponad dwumilionowe masy partyjne, czy tylko „nomenklaturę”? Jeśli przez partię rozumiemy będziemy masy partyjne, które na swoim grzbiecie tyle znosiły i jeszcze musiały świecić oczami, to jestem pewny, że jako całość, z narodem jako całością — dojdziemy do porozumienia. Ale jeśli mówić będziemy „partia”, a będzie się za tym kryła biurokracja partyjna, nawet ta, wśród której jest wielu uczciwych ludzi, porozumienie nie nastąpi. Co będzie dalej? Nie wiem. Zależy to tylko od nas.

Opracował **WŁADYSŁAW TOCKI**
Fot. **GABOR LÖRINCZY**

spiećcia



Od niedawna wodę utlenioną należy mieć tylko na receptę. Wprawdzie z podręcznika chemii wiedzieliśmy, że jej stężony roztwór stosowany jest do napędu rakiet, ale — jak się okazuje — napędzać nią można także pacjentów do przepelnień przychodni, a nawet puszczając w ruch tysiące dodatkowych papierków. Ciekawe, kto dzięki temu wynalazkowi dostanie JOBLA.

Pracownicy Oddziału Gospodarczego UW w Łomży na czele z kierownikiem, za przygotowanie w godzinach pracy sali na sesję WRN — ustawienie krzeseł, stołów i wody mineralnej — zainkasowali po 600 złotych na głowę. Łączny koszt operacji wyniósł złotych 4800. Jest to jawny przypadek powrotu do sytuacji sprzed. Tylko jak oni wyczuli, że można?

Rośnie nam świadomość obywateli! Babcia, która na rynku w Łomży wprowadziła sprzedaż wiązank — twarogu ze śmietaną — chętnym na jeden tylko produkt cierpliwie wyjaśniała: „Nie da rady. Rano mi chłop ustawę wydał, numer 206... Ale mogę zrekompenzować szczypiorkiem”.

W Łomży pojawił się Cenzor Samozwaniac. Dyrektor Przedsiębiorstwa Przemysłu Spożywczego osobiście ocenzurował przygotowany na akademię wiersz Galczyńskiego „Rozmowa liryczna”, wyrzucając z niego fragment o ptakach. Radzimy zwrócić uwagę na przedszkola. Tam nic, tylko o ptaszkach — śpiewają, malują, recytują.

Brud w autobusach tomżyńskich PKS-u pozwala domniemywać, że kierownictwo firmy zawarło tajne porozumienie z dyrekcją pralni chemicznej: my wam portki do czyszczenia, wy nam pasażera, który trzy razy będzie jeździł po ich odbiór. Ten pozytywny przejaw troski o reformowe „esy” stawiamy pod rozwagę lekarzom i grabarzom: dzięki nim, gdyby się dogadali, na swoje wyszedłby także stolarz, krawaniarz, ksiądz, USC, a i nam może skapnęłoby za klepsydrę. Ruszcie więc, panowie, brodą!

Kilkuarową, ogrodzoną działkę posesji numer 50 przy ulicy Senatorskiej w Łomży, której gospodarzami jest parę wojewódzkich instytucji, porastają okazowe chwasty. ZW ZSMP ma pełne ręce roboty z inspirowaniem swych wiejskich członków do zwiększania wysiłku na rzecz wyżywienia narodu; plastycy ślęczą nad projektem „Estetyczny wzorzec zagrody chłopskiej”, inni też, wierzymy, popijają herbatkę, ale gupią tabliczkę: „Pokrzywa — Dolar — Export. Herbatol. Poletko kontraktowe” mogliby w czynie społecznym wykonać. Bo jeszcze ktoś małostkowy naśle komisarzy i przyjdą skopać.

Chorym na wielkomiejskie kompleksy za wzór stawiamy tomżyński Zakład Komunikacji Miejskiej. Przyjezdny, który chce skorzystać z „czerwoniaka”, na żadnym przystanku nie doszuka się informacji, jaką trasą kursują autobusy poszczególnych linii, ale za to może usłyszeć swojskie: „Naprzód prosto, potem wiśta i za garażem Wojciecha też wiśta”. Gdyby jeszcze ZKM zobowiązał do podobnych wyjaśnień swych kierowców, moglibyśmy stać się Mekką spragnionej folkloru Polonii. Wystarczy wtedy zwolnić ją od obowiązku płacenia w złotychkach, a za parę lat szponerska Warszawa nas będzie prosić o refinansowanie długów.



droga do Łomży

Nad Łomżą kołuje śnieg
Tum bryła szarą wbity w biel
śpiew wiernych unosi sklepienia
— zaraz sam gubernator
na ulicy głównej
w wygodnych uśnie saniaach

Rozsypały kościoły
po ostrym powietrzu szkle
ciężki złoty bilon dzwonów
w trumnie zmierzchu klerycy
wnoszą do katedry dzień
w oknach domów
już elektryczny brzask.

Nad Łomżą —
kołuje śnieg i noc.

Ten wiersz przepisałem ze swojego pierwszego tomiku poetyckiego „Rzeźbione w bursztynie”, który ukazał się kilkanaście lat temu. Tak wtedy widziałem Łomżę. Od młodszych lat kojarzyła mi się ze starą Katedrą, której czerwone mury pamiętają kilka wieków niespokojnych dziejów północno-wschodniego Mazowsza, z murem kryjącym rezydencję biskupów, z czarnymi sutannami kleryków, z ciszą i zadumą starych uliczek, pochylonych w czas przeszły łagodnością wzgórz. Właśnie położenie Łomży, jej stara, częściowo uratowana z pożogi wojen architektura, wzbogacały moją wyobraźnię. Zawsze jechałem do tego miasta z ciekawością i życzliwością. Interesowała mnie nie tylko jego architektura i położenie, ale także ludzie, którzy z pasją służyli swojemu miastu i regionowi.

Gdy w roku 1967 zorganizowałem w Ostrołęce pierwsze spotkanie pisarzy pochodzących z regionu kurpiowskiego, najważniejszym autorem na tym spotkaniu był Adam

Chętnik. Ze wzruszeniem oglądał wystawę swoich prac, którą udało się nam zgromadzić. Poruszał się z trudnością; nie mógł zwiedzać tych wielkich fabryk, jakie wtedy właśnie wyrastały na podostroleckich piaskach, zmieniając pejzaż jego ukochanego Kurpiowskiej Ziemi. Mówił: „Aby w pogoni za nowoczesnością i industrializacją nie zgubić tych wartości, które na Kurpiach pozostawiły lata minione, a więc pięknej ludowej kultury i sztuki”. W głębi serca miał żal do Ostrołęki — o to, że na początku lat dwudziestych miasto nie umiało docenić jego pasji. Tu bowiem starał się utworzyć muzeum skansenowskie. Niestety, nie znalazł żadnego zrozumienia dla swojej inicjatywy.

Gdy dzisiaj ludzie zwiedzają Skansen w Nowogrodzie, widzą, iż większość zgromadzonych tam zabytków architektonicznych i rękodzielniczych pochodzi z dawnego powiatu ostrołęckiego. Tak więc jeździłem do Nowogrodu i Łomży, aby uczyć się dziejów własnego regionu.

Teraz też często jeżdżę do Łomży. Szosa biegnie przez stare szlacheckie zaścianki — Teodorowo, Rydzewo, Miastkowo. Stąd drobna szlachta jeździła na wielkie targi do Ostrołęki i Nowogrodu, aby handlować z puszczałkami, którzy przynosili grzyby, ryby, smole, wspaniałe miód, skóry zwierząt, piękne wyroby z drewna. Tu ukształtowała się pogardliwa nazwa „Kurpie”, którą określano ludzi w samodziślowych portkach i łapciach z lyka. Nikt nie spodziewał się wtedy, że nazwa ta przejdzie na stałe do literatury naukowej i pięknej.

Okolice wokół Ostrołęki jest taka, jak na całych Kurpiach: monotonna, równinna, piaszczysta. To tu, za Wojciechowicami, przed wojną na swych koniach cwałowali ułani Piątego Pułku. Zostały po nich wspomnienia starszych pań i kilka czerwonych wielkich budynków,

które przejęła fabryka papieru; została legenda, piękniejąca w miarę upływu lat.

Zaraz za Miastkowem pejzaż zmienia się nagle. Szosa unosi się i opada łagodnie. Ziemia tu lepsza, zboża dorodniejsze, uprawy bogatsze. Wreszcie widać Łomżę. Kiedyś był to widok niewielkich domów, rozsiadanych na wzgórzu u stóp starych kościołów, które górowały nad okolicą. Teraz pejzaż ten wzbogaca nowe osiedle, wznoszone na sąsiednich wzgórzach. Muszę przyznać, niestety, że nie jest to widok najpiękniejszy. Ot, taka architektoniczna sztampa, która szpeci także Ostrołękę i wiele innych miast w Polsce. Szkoda tego unikalnego łomżyńskiego pejzażu.

Zresztą w samym centrum Łomży, nad wysoką skarpą nadnarwiańską, straszy ludzi wrażliwych gmaszysko, które jest dumą dla wielu łomżyńców: hotel „Polonez” — szare, kilkupiętrowe, betonowe pudło bez żadnego architektonicznego wyrazu. Nie wiem, jak władze miasta zgodziły się na lokalizację takiego budynku właśnie w miejscu, gdzie stara Łomża zbiega ku Narwi łagodnymi zboczami, gdzie widać piękne wiekowe kościoły i budynki.

Gdy w drodze powrotnej zjeżdżam z łomżyńskich wzgórz, już woła mnie Ostrołęka; przypomina o sobie wysokimi dymami nad komnami elektrowni, drażni zapachem merkaptanu z celulozowni.

Ostrołęka i Łomża — dwa miasta leżące blisko siebie, tak do siebie niepodobne, a tak zarazem się przyciągające...

DIONIZY MALISZEWSKI



NA PIĘCIOLINII

wynik na ważnym spotkaniu, tego drugiego — ilość zer na koncie bankowym; pierwszy może osiągnąć sukces wyłącznie dzięki sprawności i ciężkiej pracy, drugi (częściej — druga) — przez korzystny układ męsko-damski itd. Jak widać, i o czym doskonale wie przeciętny zjadacz chleba, występują same różnice. Cóż więc sprawia, że Ziemiński zdecydował się wrzucić sportowca i estradowca do jednego worka i napisać na ten temat książkę?

Otóż te dwie kategorie ludzi (i tylko te dwie) funkcjonują jako pożywka dla milionów, istnieją na zasadzie bożyszcz, idoli, i właśnie najważniejsze są owe miliony. Ładowniem na księżycu również interesowały się miliony, ale z tego tylko powodu Armstrong nie zarobił miliona dolarów więcej; mało tego, przy następnej okazji nikt się nie interesował tym, czy następna załoga wylądowała na księżycu dwanaście sekund wcześniej niż pierwsza ani w jakim też stroju tam się udała. Natomiast z dwóch tylko powodów przed telewizorami masowo siedzą ludzie: meczu piłkarskiego lub festiwalu piosenki. Ma też autor książki rację, kiedy pisze, iż w ostatnich latach nastąpiło ustradowanie widowiska sportowego i u-sportowienia twórczości estradowej.

Osobiście dla mnie książka „Ludzie boiska i ludzie estrady” jest o tyle cenna — jako dla zawodowego opluwacza — że po raz któryś dobitnie potwierdza prawdy o poziomie naszych produkcji estradowych i bezsensownych mechanizmach rządzących polską rozrywką. Jest tu sporo wyjaśnień „nieobyczajnych”, które zwykle nie ukazują się w pismach o dużych nakładach, a które wiele tłumaczą.

Ale książka Ziemińskiego, ma jeszcze jedną wadę: zawiera sporo danych statystycznych, które o niczym nie świadczą, ale autor użył ich jako argumentów „żelaznych”. Ponadto widać, iż podchodzi on do sprawy w sposób naukowy, a sam nie ma osobistego i codziennego kontaktu ze środowiskiem estradowym. Przykładem niech będą np. cytaty z humorystycznej książki „Alfabet polskiej rozrywki” Fillera, Grońskiego i Wittlina, traktowanej przez Ziemińskiego równie poważnie, jak mądrej pozycji KTT „Kultura w stylu blue jeans”.

JAN JANUSZEK

Rys. Marka Polańskiego

refleksje

Leży przede mną nieduża książeczka — wydana w ubiegłym roku przez „Iskry” — zatytułowana „Ludzie boiska i ludzie estrady”. Napisał ją Andrzej Ziemiński, zaś sądząc po dużej ilości przypisów i pseudonaukowym momentami stylu — jest ona chyba wydrukowaną pracą doktorską, na habilitacyjną bowiem posiada zbyt mały ciężar gatunkowy. Mimo iż zacząłem od zarzutów, wcale nie dyskwalifikuję tej pozycji ani nie zarzucam wydawnictwu lekkomyślności, z dwóch co najmniej powodów. Po pierwsze: nikt do tej pory nie porównał tak wnikliwie bohaterów tych dwóch dziedzin kultury masowej; po drugie: Andrzej Ziemiński zawarł w tej książce wiele ciekawych spostrzeżeń, chociaż znaczna część refleksji pochodzi od innych autorów, masowo zresztą tu cytowanych.

W społeczeństwie fakt wydania książki nobilituje temat, a właściwie pewne jego ujęcie, z tego to powodu „Ludzie...” są pozycją cenną. Do wielu redakcji przychodzi zwykle sporo listów od czytelników ujmujących się za pokrzywdzonymi wykonawcami estradowymi, krąży wiele mitów dotyczących życia artystów i sportowców. Każda gazeta czy audycja radiowa w inny sposób podchodzi do tematu, aż wreszcie skołowany czytelnik nie wie już, komu wierzyć. Mimo wszystko do autora książki i redaktorów wydawnictwa książkowych ma się większe zaufanie. Jeśli jeszcze napisana jest ona górnolotnym stylem, z wieloma przypisami, wyrażeniami zaczerpniętymi z obcego słownictwa (przed czym bronią się redaktorzy gazet czy tygodników popularnych), można już na jej zawartość czy przesłanie powoływać się w odpowiedziach. Tak to już, niestety, bywa.

W poszczególnych rozdziałach roztrząsających różne problemy charakterystyczne dla środowisk bohaterów kultury masowej, a jednocześnie je różniące, Ziemiński stawia też obrazujące te różnice, następnie przytacza dziesiątki cytatów. A więc cechą sportowca jest młodość, estradowca — wygląd „młodzieżowy”; o pozycji tego pierwszego decyduje

dwa oblicza idoli



Pierwszy raz Głos wszedł na taśmę 17 stycznia, w niedzielę. U Szoków stał wtedy obraz, a wokół niego klęczeli zgromadzeni. Młodzi pozostawili tam na parapecie magnetofon, aby nagrały się słowa przekazywania wizerunku Matki Boskiej kolejnym gospodarzom, a sami udali się do pokoju obok — powtórzyć eksperyment z piątku i porozmawiać z duchami. Klucz na palcach trzymała Teresa ze Stanisławem, rodzeństwo Szabłaków. Podobnie jak przed dwoma dniami — pojawił się duch jego świętobliwości Kardynała i zażyty sobie przelustrowania pieśni nabożnych, które młódz, również na jego życzenie, nagrała w piątek. Po magnetofon, który przedtem ktoś zaniósł na piętro, duch wysłał dwóch mołojców, Stanisława i syna sąsiadów, a kiedy wrócili, kazal im ustawić go przy świętym obrazie. I wtedy to pierwszy raz przemówił Głos do ludu. „Dzieci boże — powiedział, co było potem znakiem identyfikującym Kardynała — nie mogłem wam pozwolić nagrać obrzędu przekazywania obrazu, bo tego robić nie wolno. Wywoływać duchów też nie wolno, ale skoro to już zrobiliście, zostaną z wami i będę was nauczał, aby wam ułatwić drogę do królestwa niebieskiego”.

Przestrach zebrań był tak wielki, że mało kto dziś pamięta dokładnie tę pierwszą lekcję, którą ponadto zaćmiły kolejne, adresowane imiennie, a głoszone ze ściany kuchni Szabłaków, dokąd Głos przeniósł się wraz z magnetofonem. Tam kazal im postawić na półce nocną lampkę, która sygnalizowała jego wejście na taśmę, a jednocześnie symbolizowała osobę mowiącego.

— Zawsze, jak miało coś być — mówi Franciszek Szabłak, ojciec siedmiorga dzieci — lampka się zapalała, potem były trzaski, a dopiero na końcu głos.

— Ale czy to był głos? — zastanawia się 22-letni Stanisław, absolwent Zasadniczej Szkoły Budowlanej. — To było coś bardzo wyraźnego, powolnego i słyszalnego poza tym pomieszaniem. Nawet im dalej się odchodziło, tym było lepiej słychać, a normalne nagrania nie wychodzą poza pokój. Gdy się stało przy samym magnetofonie, czuło się, jak powietrze drży, i aż się niedobrze człowiekowi robiło.

— Raz kiedy patrzyłam na mikrofon, a jeszcze niezupełnie we wszystko wierzyłam — wyjaśnia nadzwyczajność zjawiska zamężna córka Stanisława — zauważyłam, że kabel podniósł się i opadł na dół! Wcześniej, jak klepałam u rodziców kolanem, poszłam do stodoły i obśmiałam się trochę z tych cudów, tak sama do siebie, bo nie mogłam uwierzyć, że taka święta postać mogłaby do mnie przemówić; wieczorem w nauce dostałam za swojej! Usłyszałam też za opieranie się o krzesło w czasie modlitwy. No, Głos powiedział, że jego dusza to poważna sprawa i nie ma tu nic do śmiechu, a podczas modlitwy nie trzeba szukać wygod, tylko klęczeć sztywno i patrzeć na ołtarzyk, bo u mamy zawsze stoi przystrojony ołtarzyk z Matką Boską.

— Mnie nikt nie powie, że jest tak czy inaczej — mówi z przekonaniem 17-letnia Teresa — bo ja wiem na pewno, że coś w tym musi być. Jakieś przeznaczenie od początku kazało nam duchy wywoływać i nie mogliśmy się tej potrzeby oprzeć. Owszem, najedliśmy się strachu, kiedy u Baldygów czy Szoków nie chciał od nas odejść, a nawet widzieliśmy, jak poruszały się same kłamki...

— Zim, ze poziedział u Sioków na koniec tak — dowodzi śpiewną kurpiowszczyzną matka Marianna. — Te, co się obśniały, bedom mózły pinć razy różaniec i litanie, a jesce dadzo za duse mojo (potem znielil: za duse rodziny i wszystkich zmarłych). „A teraz, drogie dzieci Boże, przysietem jednemi drzwiami, a wyńde drugimi”.

Duch Kardynała, wraz z dwoma pomocnikami, których nikomu nie udało się zidentyfikować, pozostał w domu Szabłaków na misji. Podczas poprzednich czternastu, przeprowadzonych w „trzecim świecie”, udało mu się nawrócić aż 150 milio-
nów ludzi, a tu, w jego ukochanym kraju, wierni okazali się niedowierkami i zdradzili go, mimo przysięgi.

— Wszyscy podešli do telewizora i ciasno było, tak że sąsiad nie mógł się dopchać, więc położył rękę na kimś tam — opowiada Stanisław

— Wtedy Głos kazal się zbliżyć każdemu i położyć dłoń na telewizorze, a dopiero wtedy mogliśmy powtarzać słowa przysięgi.

— Un byłby został z nami aż do września, ale Baldygi go zdradzili do lysowskiego proboszcza. Probosc poziedział, że to satan nas dom naziedził i młodzi sie poprzestrasali: „Jak to, satanozi słuzyli?” A my nie mogli inaczej, bo Głos gadał, że jezeli nie bedziem słuhać, to zadne z nas prze-
spieczne poza domem nie bedzie. To my wypełniali wszystko, co kazal, a jo nigdy złego słowa od niego nie uslysała. Wszyscy uslyseli, a jo nie! — kończy z radością w oczach Marianna Szabłakowa.

— Bo ty, mamó, najpilniej słuhałaś wszystkich nauk i każe polecenie wykonywałaś — chwali matkę Stanisław. — A nam ze szwagrem zdarzyło się przy zwożeniu drzewa wypić pół litra. Zaraz to w nauce było. Szwagrowi motor nie chciał ciągnąć, więc się domyślił, że już u nas coś jest, ale nie wrócił z drogi. Ja wysłuchałam za nas obu i przyjałem pokutę: przez tydzień nie palić i na kolanach do stodoły śc. Z paleniem byłoby gorzej, ale na kolanach poszlim. Na drugi dzień ta kara została odwołana, bo Głos powiedział, że nie chce ludzi krzywdzić.

wet jak sie przed latami zdarzyło. Ojcu przyponiał, co się seś lat temu odniósł źle do córki, bo jo za komarka skrzycał, i kazal mu wiency dzieci sanować, jeko to jego radość i podpora. Tak. A jek niala być nauka dla młodych, to Staśka z gospody w siedem minut do domu coś przynęła, w śnieg i mróz. W siedem minut! I pocekało na niego. Nie, pani, tego nikt nie nagra i nie wymyśli. Niechby i sam satan. Ale cy un by takie słowa do nas gadał? Tak by pięknie nauczał? Toz my nieraz płakali, jak mózł, co na tej ziemi jest najpiękniej i to życie nase na niej trzeba sanować, a od Boga nigdy nie odstępować. Zle ucu! Ja od początku wierzyłam, to dostałam znak: dwie niebieskie gwiazdki zza magnetofonu wysly i sly po francie, berrecie zięcia, az na capce córki gdziesi znikly. Tak, to nie zarty!

— Czy to mogły być żarty — argumentuje małżonek — jeśli cicha msza święta szła? Zwołałem wszystkich i sąsiada, żeby sam usłyszał. Wysłuchali, pomodlili się, i... jakie to żarty? Krótka była i cicha, tylko gdzieś tam dalej trochę drzwie się przymykały, dziecko zapłakało i dzwon zadzwonił tak, jakby duży zegar bił. A kto potrafi nagrać osobno to, co biegnie równo? Syn oglą-

diesz się szamotał i złych wyrazów nie braknie między wami”. Dziewczki bezszelestnie zniknęły, nie usłuchawszy szatana, a Marianna Szabłakowa powraca do niedowiarstwa proboszczowego.

— Gdyby on nas tak brzydko nie odprowadził za piersym razem, ja bym posłała z to nauko na magnetofonie, bo do niego była. „Probosc — mózł Głos — skąd wies, cy ja jestem satanem?” Gdyby probosc był wysłuchał, co satan może zrobić z człowiekiem, jak go oderwać od Boga, to on by inaczej gadał. A Głos zawsze powtarzał: „Nie dajcie się odrywać od Jezusa Chrystusa, nie dajcie się odrywać!” Ja teraz tak zaufałam ze wszystkim, no, tak zaufałam, że nie oderwie się już.

— Tak mówił, jak w kościele się słyszy, wszystko tak samo było w naukach wyjaśnione. Teraz człowiek inaczej tego słucha, bo rozumie, że życie jest krótkie, a najważniejsze w nim staranie o to przyszłe. Inaczej człowiek rozumuje — zamyśla się głowa rodu, zupełnie siwiutka, choć przecie nie sędziwa.

— No, ja płakałam ze wzruszenia przez cały czas i wszystkiego słuchałam z pokorą: jakże ja mogłam słyszeć to, co się należało tylko głowom Kościoła? Ale mój brat, Tadeusz, nie uwierzył. Głos mu powtarzał trzy razy: „Tadeuszu, przyjeźdź. Tadeuszu, przyjeźdź. Tadeuszu, przyjeźdź, będę do ciebie mówił”. A on nie posłuchał! Zabrał się i pojechał do swojej panienki! Nie uwierzył. Potem coś mu się stało, wzięła go milicja z pociągu. Lekarka mówiła, że Matkę Boską widział, coś mu się zwidziało... To wszystko z niewiary i nieposłuszeństwa!

— Ale Głos mózł, że usprawiedliwi Tadzia i ze mu się polepszy, tylko musi tych syropów jesce troche popić. Wyzdrowieje, a potem już mu niczego w życiu nie będzie brakować — wyraża nadzieję matka. — Młody jest, przestraszył się i coś mu się zwidziało... Głos przyobiegał, co wydobrzeje, to wydobrzeje!

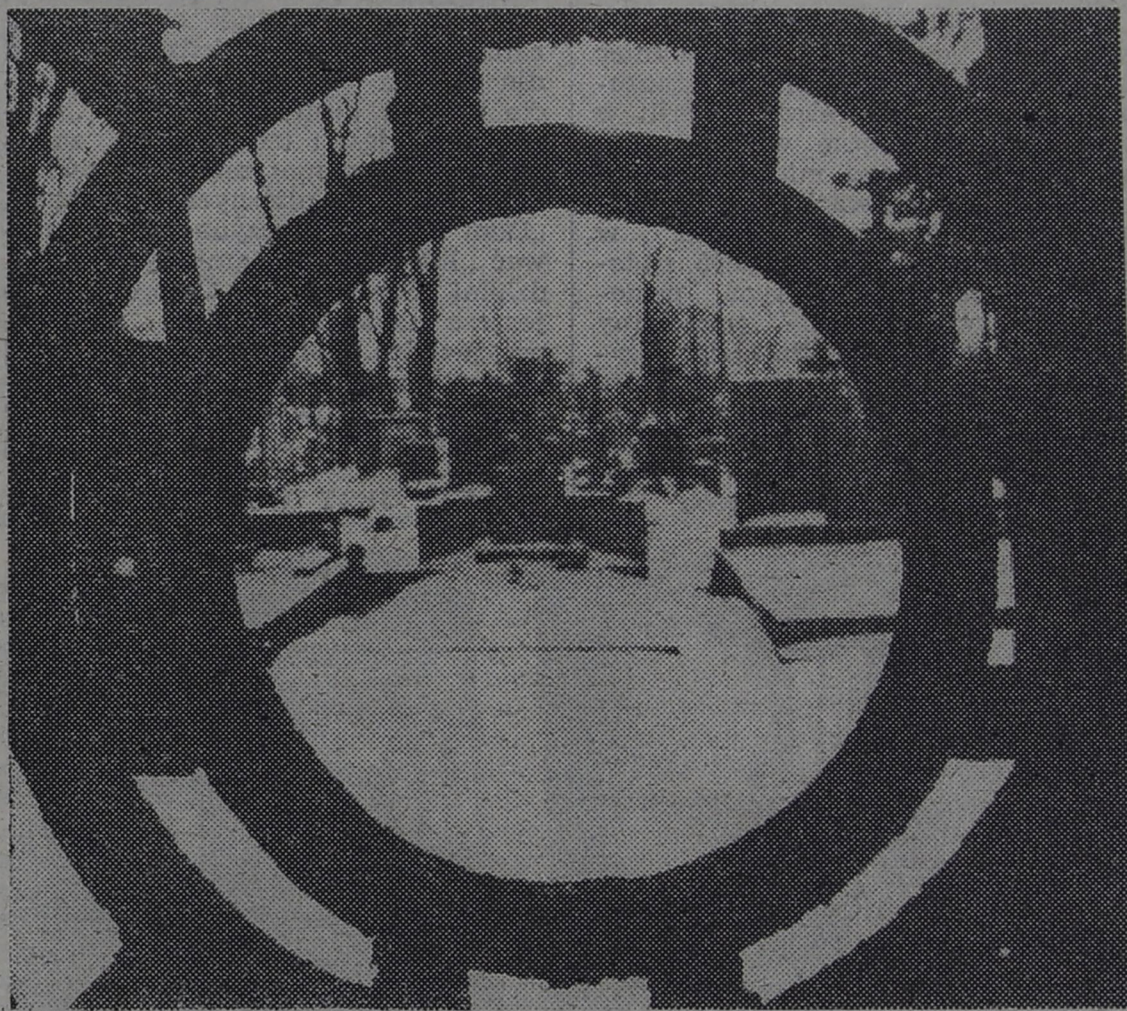
Gorzej z tymi, którym od wieści rozchodzących się po ludziach, może nawet sprawdzanych przy pomocy klucza i świętej książeczki, coś się również zaczęło zwidywać. Niedawno dom Szabłaków odwiedziła czwórka uczniów z Kolna. Wszyscy przeżegnali się przed progiem, a dwójka uparła się, że wejdzie i zmówi przed ołtarzem domowym litanie. Szabłakowa, uczulona na plotki o świadkach Jehowy, nie chciała ich wpuszczać, zanim jej nie obiecali, że będą się modlić z jej książeczką. Już za progiem prosili ją usilnie, aby nie reagowała na ich zachowanie i nie odwracała głowy nawet wtedy, gdyby któreś z nich zasłabło. Przerzekła im to i słowa dotrzymała; przez cały czas modłów słyszała tylko ich głosy. Kiedy wyszła do dwójki, która pozostała na zewnątrz, dowiedziała się, co przysłało do niej uczniów z Kolna i co dopilnowało, aby polecenie wypełnili. Otóż niedawno jedna z ich koleżanek zanie mogła i znalazła się w szpitalu. W majakach opowiedziała kolegom wydarzenia w domu Szabłaków i kazała tam właśnie odmówić wybrane modlitwy. Powtarzała polecenie długo i uparcie, aż stracili spokój ducha i skierowali się pod wskazany przez nią adres. Zanim jednak tu dotarli — za dwójką młodych ludzi, którzy wymogli na Szabłakowej wspólną modlitwę przed jej ołtarzem, zaczęła chodzić czarna postać bez głowy...

— Co się jesce może zdarzyć, kto zie, pani — komentuje to zdarzenie Szabłakowa. — Kto zie, cy sie to wszystko nazad nie wróci bez te niewiare ludzką, bez te ich kpiny. Kady poniesie kare za swoje grzechy: i lysowski probosc, i zdradliwe somsiady. Moze nam sie przyjdzie jesce raz tego wszystkiego wysluchiwac? Bo choc Glos poziedział, ze juz wiency na taśme nie wejdzie, to nam, biednym, trudno zgadać, a nawet sie domyslać, jak to sie skoncy. Wiem tyle ze sad Bozy za niedlugo nastapi, przed którym kazden stanać musi i wyznac, co zlego zrobil.

— „Moje drogie Boże dzieci!” Ja tych słów nigdy nie zaomnę, a księdza Kardynała zawsze będę w sercu nosić, cokolwiek by się stało — potwierdza łzami obietnicę Stanisława. — Ze świętej Ewangelii były słowa i nauki, same sprawiedliwe i dobre. Gdyby pani to słyszała, gdyby czuła ten oddech, wpuszcila do serca ten zagrobowy głos, też by uwierzyła i nie zwątpila już nigdy! (Cdn)

STEFANIA HENCZELOWA

wpuść do serca



głos zagrobowy

Nawet za tę zdradę Baldygów nikt z nas nie został ukarany, tylko dusza jednego z pomocników Kardynała poszła na pokutę.

Sąsiedzi obserwowali te cuda w domu i obejściu Szabłaków. Wnet ich chodzenie na kolanach rozniosło się po Polsce, wzbogcone o historię z sianem, wożonym w drugi dzień świąt wielkanocnych, i wizję czarnych ścian w izbach Szabłaków. Zaczęły się wycieczki z Łysych, a potem z bliskich i odległych stron kraju. Ludzie przybywali z ciekawości, ale i chęci usłyszenia Głosu, aby raz na zawsze rozpedzić swoje wątpliwości co do życia zagrobowego.

Przybyśże szukali sensacji, ale i nadziei. Pozostawiali swoje adresy na wypadek ponownego wejścia Głosu na taśmę, bowiem po marcowym pożegnaniu przemawiał już tylko pomocnik, ten, który nie poszedł za Baldygów na pokutę.

— Na pożegnaniu byli wszyscy dotychczas wzywani — mówi ojciec. — Głos powiedział, że musi już, zgodnie z wolą Chrystusa, odejść. Każdego wymienił z nazwiska i imienia, nawet żony krewnych z Warszawy; wspominał całe rodziny nasze i sąsiadów od najstarszego członka do najmłodszego, kazal się dużo modlić, chodzić do kościoła i żyć po Bożemu. Pożegnał nas ogólnie i wszystkim życzył królestwa niebieskiego, do którego droga strma: kamienista. Kto zasłuży na nie, będzie żył w jasności, a kto nie, pochnie go wieczna ciemność.

— No, mózle pani, un poziedział tak, jek zaden ksiundz ani zaden cłozek nie pozi. A ziedział wszystko, na-

dał film w kuchni, a my w pokoju odmawiali „Gorzkie żale”, potem co słyszymy: wszystko osobno! Jak to możliwe jest? Mógłby diabeł ten głos z filmu nagrać, ale po co „Gorzkie żale” by nagrywał?

— Diabeł by kazal w kościele spokojnie stać i w ołtarz patrzeć, a zabraniał rozglądać się, rozmawiać i śmiać? Przecież to nie mogły być szatana nauki! — wspomaga ojca Stanisław. — Albo mówił tak: do kościoła wchodzicie wtedy, jak deszcz pada, a normalnie szukacie chłodu w korytarzu lub na dworze. A stojcie już przez cały deszcz tam, gdzieście się dla wygody ustawili. To co, źle mówił?

Dwie jedenastolatki z małym dzieckiem stanęły niespodziewanie na progu. Słyszały o duchu i czarnych ścianach, nie uwierzyły, ale chciały to same sprawdzić. Stanisława oprowadza je po pokoju i płacze na tę niesprawiedliwość ludzką. Łysowiacy uwierzyli w proboszczowego szatana, śmieją się z rodziny zaszczyconej do brym Głosem; nasylają dzieci albo chłopów na przysięgi, a ci ranią serca wierzących żegnając się u progu dla odegnania ducha złego. Niczego tu nie wypatrzą, podobnie jak te dziewczeczki, jedynie nagapią się na prześladowanych biedaków, których proboszcz z szatanem pozenił. Niczego też nie usłyszą, bo ostatni Głos wszedł na taśmę na Stanisława, kiedy to składał życzenia rodzinnemu solenizantowi i udzielił mu kilku rad na przyszłe życie. „Stanisławie — powiedział — bierz żonę z pobliza, bo tylko z taką żyć będziesz zgodnie i szczęśliwie, a z obcą be-

obcy zaje



KSIĘGARSTWO

DETALICZNA SIEĆ KSIĘGARSTWA. W końcu roku 1981 w Łomżyńskim było 15 księgarń „Domu Książki” (dla porównania: w Białostockiem 38, a w Suwalskiem — 23). W siedmioletnim 1975—1981 otwarto tu zaledwie jedną, w Kolnie. Sprzedaż wydawnictw nieperiodycznych i artykułów użytku kulturalnego prowadziło 12 księgarń, natomiast same książki rozprzodzały 3 księgarnie (nr 19 w Zambrowie, nr 35 w Łomży i nr 75 w Kolnie).

Gęstość (czy rzadkość?) detalicznej sieci księgarstwa zadecydowała o tym, że w roku 1981 na jedną księgarnię przypadało w Łomżyńskim 22 tysiące osób (w kraju już w roku 1978 — ok. 16 tysięcy). Przyjęty w Polsce optymalny wskaźnik gęstości księgarń służy realizacji programowego założenia, że jedna księgarnia powinna przypadać na 10 tysięcy mieszkańców, niezależnie od tego, czy żyją na wsi, czy w mieście. Daleko nam zatem do średniej krajowej, a gdy się doda fakt, że na wsi łomżyńskiej istnieją tylko dwie księgarnie, i to w miejscowościach korzystających niegdyś ze statutu miast (w Sokołach i Czyżewie), to nie ma podstaw do triumfalnego dmuchania w trąby.

Srednia powierzchnia użytkowa jednej księgarni (powierzchnia sprzedażna i zaplecze) wynosiła w roku 1981 77 m², a powierzchnia użytkowa wszystkich księgarń w całym województwie — łącznie — 1159 m². Tymczasem, zgodnie z ogólnopolską normą, powierzchnia księgarni w średnim mieście (w naszych warunkach — Łomża) powinna mieć ok. 150 m², a w małych miastach i na wsi — od 70 do 100 m². W kraju już w roku 1978 średnia powierzchnia księgarni wynosiła 96 m², a na 1 m² tej powierzchni przypadało ok. 170 mieszkańców; w Łomżyńskim w dzień sylwestrowy 1981 roku do 1 m² powierzchni księgarni miały prawo 283 osoby.

KADRA I PŁACE. W roku 1981 w księgarniach na terenie województwa łomżyńskiego w bezpośredniej obsłudze klientów pracowały 33 osoby, prawie same kobiety (tylko jedna z tych osób miała wyższe wykształcenie), spośród których pięć było starszymi księgarzami, reszta zaś księgarzami, młodszymi księgarzami i kandydatami księgarstwa.

Tu trzeba napisać, że położenie centrów kształcenia i doskonalenia zawodowego księgarzy w naszym kraju nie sprzyja wydatnemu wzrostowi kwalifikacji pracowników księgarstwa zatrudnionych w Łomżyńskim. Sieć szkolnictwa księgarskiego w kraju tworzą: Liceum Księgarskie w Warszawie, klasy księgarskie w niektórych szkołach średnich Krakowa, Łodzi, Szczecina i Wrocławia. Policealne Studium Ekonomiczne o specjalności księgarskiej w Warszawie (dzienne i zaoczne), policealne szkoły o specjalności księgarskiej w Katowicach, Krakowie, Lublinie i Wrocławiu, wydziały zaoczne przy Instytucie Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej Uniwersytetu Warszawskiego oraz Instytucie Bibliotekoznawstwa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu (tu również są księgarskie studia dzienne). Czy nie warto już pomyśleć o kształceniu księgarzy dla dobra całego makroregionu na poziomie policealnym lub wyższym w akademickim Białymstoku?

W końcu pierwszego półrocza 1981 r. średnia płaca pracownika księgarstwa w Łomżyńskim wynosiła 5275 złotych. Część księgarzy tego pułapu płacy, oczywiście, nie osiągnęła, nie ma więc co liczyć na to, że zawód ten będzie przyciągać zdolnych i rzutkich ludzi z cenzusem wykształcenia akademickiego (kiedy zatem przyjdą czasy, gdy słowo „księgarz” będzie znaczyło: inteligent bardzo wysokiej próby?).

OBRÓT KSIĘGARSKI. W roku 1980 wyniósł on w województwie 38 206 tysięcy złotych (wydawnictwa — 24 235 tysięcy, artykuły użytku kulturalnego — 13 971 tysięcy), w trzech kwartałach 1981 r. — 28 700 tysięcy złotych (108,3 proc. planu), a książek w tym roku sprzedano na sumę 24 600 tysięcy złotych. W roku 1980 w obrocie księgarskim przodowały księgarnie nr 15 w Kolnie, nr 64 w Sokołach, nr 38 w Jedwabnem, nr 75 w Kolnie i nr 50 w Rajgrodzie. Jednak pisanie czegoś na temat wojewódzkiej geografii sprzedaży książek tylko na podstawie danych

o wysokości obrotu księgarskiego byłoby zabieganiem równie przekonywującym, jak wróżenie z fusów, bowiem badanie jej posiada bogatą metodologię i swoiste techniki, a ma rację bytu wówczas, gdy rynek księgarski funkcjonuje względnie normalnie. Poza tym ma ono społeczny sens w powiązaniu z badaniem geografii sprzedaży określonych tytułów wydawniczych. Sama wielkość dokonywanych zakupów książek nie jest wcale wprost proporcjonalna do czytelnictwa, co ilustruje m.in. anegdota o szczęśliwym posiadaczu nowego regału, który chciał zakupić książki na miarę swych otwartych ramion.

W roku 1981 w Łomżyńskim wartość sprzedanych książek, w przeliczeniu na jednego mieszkańca, wyniosła 75,51 złote. W porównaniu do roku 1975, w którym analogiczna kwota wyniosła 41,26 złote, nastąpił pozorny wzrost wartości i ilości sprzedanych książek na jednego mieszkańca. Rzeczywistość była jednak zgoła inna — nominalnie pieniądze wydatkowały się więcej, ale realne zakupy w liczbach nie uległy wcale zwiększeniu, bo, z jednej strony, ich ceny wydatnie wzrosły, a z drugiej — produkcja wydawnicza w kraju malała (w roku 1981 wydrukowano dla jednego Polaka tylko 3,8 książki). Bardziej obrazowo: była to tylko połowa tytułów wydawniczych w porównaniu z rokiem 1979.

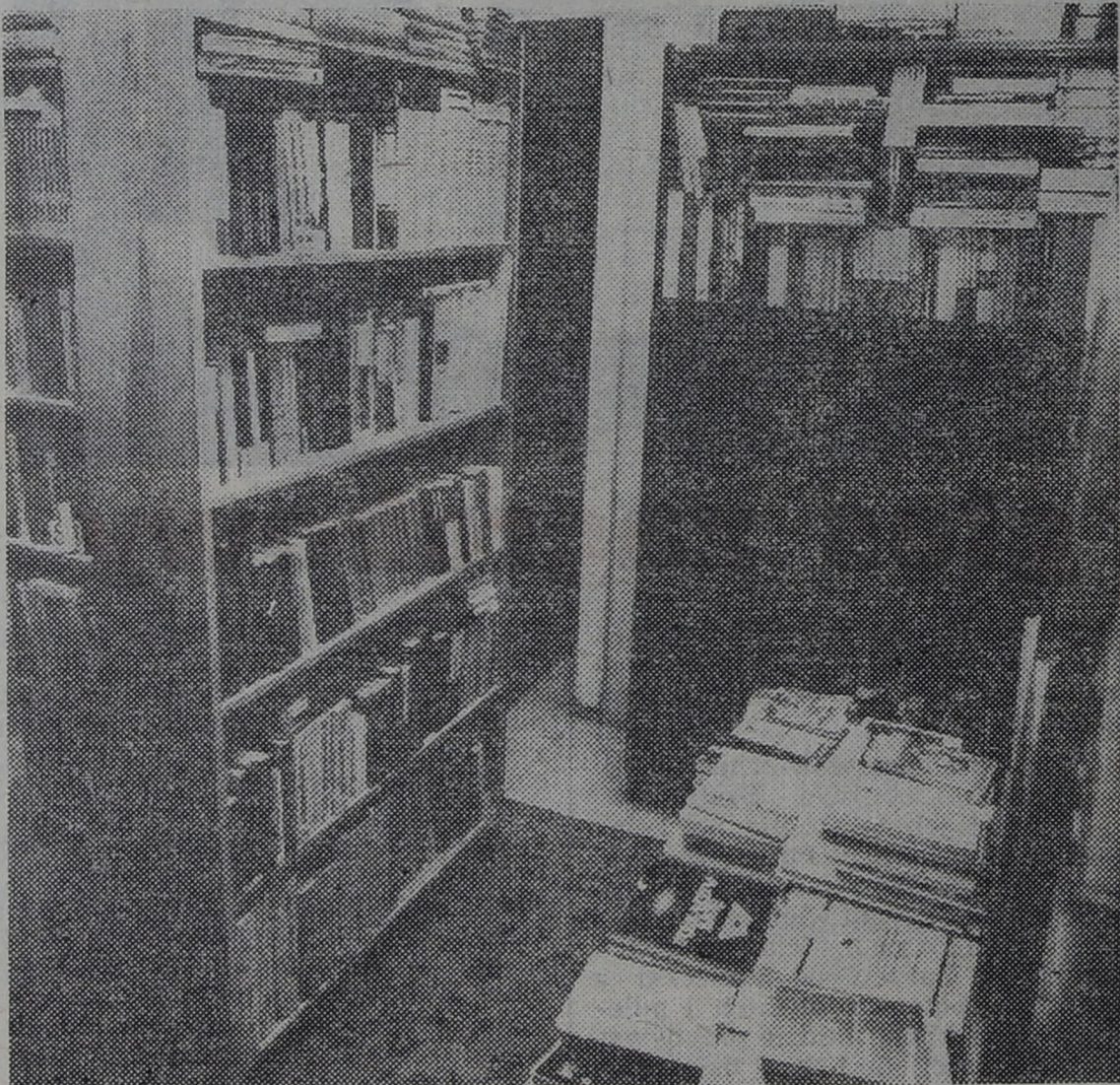
W przeciętnych wydatkach na książki w roku 1981 mieszkaniec Łomżyńskiego dał się zdystansować sąsiadom zza miedzy; jeśli w tym roku przeciętne wydatki na książki na jednego mieszkańca w trzech województwach, obsługiwanych przez PP „Dom Książki” w Białymstoku, wyniosły 113,05 złote, to poprzeczki na tym poziomie nie trzymał wcale przeciętny mieszkaniec Łomży, Piątnicy, Czyżewa, Bogut, Kolna czy Turośli. Trzymali ją sąsiedzi. Dokładnie: w Białostockiem na wysokości 289,64 złote, w Suwalskiem — na wysokości 110,05 złote. Trzeba im

komu dać
w trąby

JÓZEF PAŁKA

wadzających je drogą prenumeraty, stąd bardzo poważne ograniczenie ratalnej sprzedaży książek, stąd dla Polaka wchodzącego w życie i świat kultury słowo „subskrypcja” jest i trudnym do zapamiętania, i niepotrzebnym terminem. Pusto w ulicznych kioskach, „Dom Książki” zaczyna nie poznawać „Ruchu” i gminnych spółdzielni „Samopomocy Chłopskiej”. A jeszcze niedawno byli to wzorowi przyjaciele... Kolportaż książek stał się rzadkością z innej epoki. Wspomnień kolporterów książek z czasów zetempowskiego zaciągu słucha się dzisiaj jak bajki o żelaznym wilku.

JAKIE JEST WYJŚCIE z tego



tego pogratulować polykając własne lzy.

Tu ktoś mógłby powiedzieć: Białystok jest ośrodkiem akademickim, wiadomo... Suwałki także? Ponadto nie ma dowodów na to, że w rozdzielnictwie tytułów atrakcyjnych książek Łomżyńskie jest krzywdzone, bo po prostu krzywdzone nie jest. Od lat mieszkańcy Warszawy i Białegostoku „polują” na nowości wydawnicze w Łomży i Wysokiem Mazowieckiem, Kolnie i Grajewie, Ciechanowcu i Rajgrodzie; tu potencjalni nabywcy nie zawsze się na tym znają albo nie są w ruchu wydawniczym dokładnie zorientowani, a tamci o naszych słabościach dobrze wiedzą. My mamy mało księgarń, ale i za mało w nich kupujemy. Nie są tu bez grzechu niektóre biblioteki publiczne, szkolne i zakładowe.

Rynek księgarski jest rozregulowany. Przyczyna: brak podaży. Stąd już umiera czcigodna — za długość swego żywota — sprzedaż reglamentowana, stąd przyspieszone śmierci klubów książek rozpro-

fatalnego impasu? Przede wszystkim — w odbudowie i rozbudowie produkcji wydawniczej. (Wielka chwała premierowi Jaruzelskiemu za to, że egzekwuje nieustępliwy wzrost produkcji wydawniczej w tym roku o 25 proc. To znaczy, że otrzymamy ok. 35 milionów egzemplarzy książek więcej niż w roku minionym, czyli: nie będzie pogrzebu kultury literackiej). Po wtóre — w odbudowie form sprzedaży sprawdzonych w przeszłości. Wierzę, że już niedługo przeciętny bibliofil będzie miał do wyboru bon książkowy, giełdę, kiermasz, klub książki, kolportaż, loterię, prenumeratę, przedpłatę, sprzedaż ratalną, i w księgarni będzie mógł pogrymasić; że księgarz będzie się stał niezawodnym przewodnikiem po gąszczu produkcji wydawniczej, bo jej urodzaj będzie stymulował spotęgowanie informacji i reklamy, a bez rozwinięcia precyzyjnej informacji i chwytliwej reklamy będzie mu po prostu groziła plajta.

Tylko naiwni mogą wierzyć, że wydatna podwyżka cen książek u-

reguluje rynek. Odetnie tylko drogę do księgarń mało zamożnym. Podwyżka cen owszem, albo bardzo wyważona i nie odcinająca drogi do zakupu podręczników uczniowskich, szkolnej lektury obowiązkowej i nadobowiązkowej, wybranych książek dla dzieci i młodzieży, dzieł tworzących kanon literatury narodowej (a w nich my, Polacy, mamy szansę razem się odnaleźć), klasyki obcej i podstawowych informatorów.

Jakie motywy sprawiają, że ludziom na widok „książek” jaśnieją oczy, a ręce niemal bezwiednie kierują się na spotkanie z nimi? Znaczącego tego problemu, Radosław Cybulski, twierdzi, że zainteresowania i potrzeby nabywców książek mają następujące uszeregowanie: 1) troska o zachowanie zdrowia i sprawności fizycznej, 2) snobizm — w kulturze podobno nieszkodliwy, 3) motywy seksualne, 4) chęć polepszenia sytuacji materialnej dzięki wiedzy nabywanej przez czytanie książek z myślą o spożytkowaniu jej w życiu społeczno-zawodowym, 5) potrzeba odpoczynku, rozrywki i odprężenia, 6) potrzeba zdobycia wiedzy, przy ukształtowanych i trwałych zainteresowaniach poznawczych, 7) potrzeba zaspokojenia ciekawości, 8) kolekcjonerstwo, 9) kupowanie książek na prezenty.

Może ktoś kiedyś w Łomżyńskim poddał te fakty badaniom, a ich efekty wzbogacą socjologię kultury regionu; tymczasem ustalmy, kto w Łomży, Grajewie, Kolnie, Wysokiem Mazowieckiem i Zambrowie książki najczęściej kupuje. Na czoło klientów księgarń wyszli uczniowie szkół podstawowych i średnich (w Łomży ich aktywność na tym polu ostatnio należe). Za nimi sytuuje się czynna zawodowo inteligencja humanistyczna i techniczna z wyższym wykształceniem (Grajewo wskazuje na inżynierów nauczycieli). W Łomży i Grajewie na trzecim miejscu wymienią się emerytów i rencistów. Wśród kupujących książki mało jest robotników i rolników. Zatem powszechny udział w kulturze jeszcze nie jest u nas faktem, lecz ciągle celem.

Dużo klientów księgarń odchodzi z nich z pustymi rękami. Wydaje się zbyt mało poradników, encyklopedii, słowników, informatorów, książek fachowych, szkolnej lektury obowiązkowej i uzupełniającej, książek dla dzieci i młodzieży, klasyki polskiej i obcej. Większość księgarń zrezygnowała z prowadzenia tzw. frontowej książki potrzeb, na której podstawie opracowywuje się tzw. zamówienia wtórne.

— Po co ją prowadzić — pyta Kazimiera Kierznowska, kierowniczka księgarni nr 75 w Kolnie — skoro nikt nie realizuje zamówień wtórnych. Mało tego, już przy pierwszej (w naszych warunkach — także ostatniej) dostawie książek informuje się księgarnię o całkowitym wyczerpaniu nakładu.

W warunkach województwa łomżyńskiego odbiorcy pozarynkowi to w zasadzie szkoły i biblioteki publiczne, skazane — tak samo, jak klienci indywidualni — na wielki przymus w wolnym wyborze. Często kupuje się to, co jest, a nie to, co by się chciało kupić. Stąd później w bibliotekach jest zbyt dużo książek, których nikt nie czyta.

CO ROBIĆ? Myślę, że należałoby otwierać nowe księgarnie sposobem bezinwestycyjnym; nieracjonalnie użytkowanej powierzchni placówek naszego handlu wystarcza na 2—3 zgrabne stadiony. W pierwszej kolejności potrzebna jest nowa księgarnia w wojewódzkiej Łomży — krok do specjalizacji w handlu książką, a specjalizacja to wyjście naprzeciw klientowi, kulturze, nauce i technice.

A kiedy w związku z książką zastanawiam się nad sensem nośnego powiedzenia: klasa robotnicza — podmiotem kultury, to marzy mi się otwarcie księgarni w którymś z naszych największych zakładów produkcyjnych, obsługującej autentycznych robotników; albo — na początek — przynajmniej punktu sprzedaży książek. Bez nakładów na inwestycje.

Fot. GABOR LÖRINCZY





BYŁ SOBIE CZŁOWIEK

święty kurz

Przez każde z miast Bliskiego Wschodu już w najdawniejszych latach przebiegała szeroka wspaniała droga o takiej, na przykład, nazwie: Ulica-która-aby-nie-kroczyła-nigdy-żaden-wróg. Nawierzchnię jej stanowiły płyty wapienne, ułożone na warstwach wielkich, płaskich cegieł, zaprawy wapiennej, piasku i asfaltu. Tędy właśnie jechały wozy z posągami bogów. Ponieważ były to ulice święte, korzystanie z nich regulowały specjalne przepisy. Kto wtargnął na taką drogę, karano go śmiercią na szubienicy, postawionej przed jego własnym domem. Może właśnie z tych świętych powodów bruk w Europie był długo nie znany.

Podczas suszy kręte uliczki śred-

niowiecznych miast tonęły w kurzu, natomiast podczas deszczu przechodnie tonęły w błocie. „Przylepia się jak paryskie błoto” — głosiło porzekadło. Dopiero w 1184 r. Filip II August rozkazał wybrukować paryskie ulice. Przez kilka następnych wieków urzędnicy usiłowali porządkować i unowocześniać ulice miast europejskich. Gwałtowny rozwój motoryzacji — jak zwykle — zaskakiwał rządzących. Ulice średniowieczne, zaprojektowane na potrzeby pieszych, nie mogły pomieścić takiej ilości furmanek, wozów, powozów. W XVI wieku Franciszek I, król Francji, zarządził: „Tudzież, pod tymi rygorami, zabraniamy furmanom i woźnikom tak wozów, beczkowozów i furmanek, jak i innych pojazdów, zawracać na ulicach, ale mają oni zakręcać na skrzyżowaniach rzeczonych ulic, aby zapobiec kłopotom, którym mogłyby powstać: już to kaleczeniu dzieci czy innych osób, już to ta-

mowaniu drogi przechodniom”.

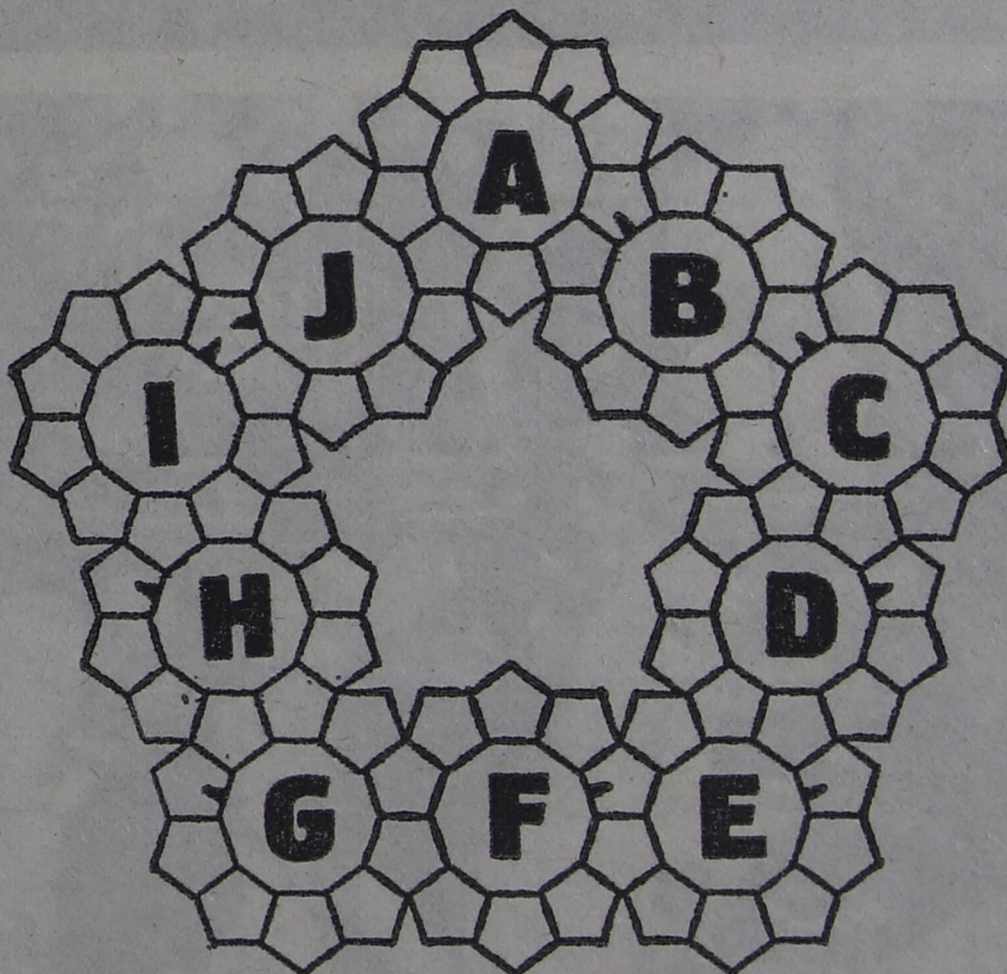
Każdy obywatel średniowiecznego miasta miał obowiązek wybrukowania i utrzymywania w czystości kawałka ulicy przed swoim domem. Specjalną ustawą zakazywano zwałowania i wyrzucania na ulicę śmieci i nieczystości. Ale szlachta i mieszczanie ignorowali rozporządzenia. Tylko bezpośrednio po ich ogłoszeniu poprawiał się stan higieniczny grodów. Wkrótce jednak ustawa szła w zapomnienie i miasta znów zaczynały cuchnąć.

Bruk na ulicach był niejednolity; każdy wykonywał go według własnego uznania. Istniały wszakże cechy brukarzy, ale niektórzy kamieniarze wyspecjalizowali się bardziej w niszczeniu dobrze ułożonej nawierzchni, by zmusić właściciela nieruchomości do ponownego układania bruku. Proceder ten stał się tak nieznośny, że wprowadzono nawet karę śmierci za umyślne niszczenie ulic.

szpitalny wróg

W jednym z brytyjskich czasopiśmie medycznych wydrukowano artykuł, którego treść zawiera następującą konkluzję: nie przynosić do szpitala ciętych kwiatów, może to zaszkodzić chorym, którzy nie zawsze mają chęć, a i siły, do codziennego zmieniania wody w wazonach. Po trzech dniach w wodzie rozwijają się niebezpieczne bakterie, które się nie poddają nawet antybiotykom.

WIROWKA



Pierwsze litery wpisujemy w pola oznaczone; kierunek wpisywania — prawoskrętnie.

A) „Zamieć” u Londona, B) nasz skrzypek — wirtuoz, C) winieta książki lub „rzęsiste” oświetlenie, D) diablów gości na Lysej Górze, oni ją na 16 str. „Kontaktów”, E) narciarz — „spryciarz”, F) dawna komnata dla dworzan, G) przepisy dla urzędnika lub dział semiotyki, H) nasza — kryzys przeżywa, I) orator w stylu Cyncerona, J) gaźnik w pradziadkowej „renówce”.

Wśród Czytelników, którzy pod adresem redakcji w terminie 10-dniowym nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy nagrody książkowe.

„Goliat”

seks dzikich

Dziewięć trobriandzkich (plemię zamieszkujące wyspy Melanezji) życie seksualne zaczyna bardzo wcześnie. Do inicjacji u dziewcząt dochodzi między szóstym a ósmym rokiem życia, zaś u chłopców — między dziesiątym a dwunastym. W tym okresie posiadają już one szeroką wiedzę praktyczną — swobodnie mogą bowiem przysłuchiwać się najbardziej rozpustnym rozmowom starszych na tematy seksualne, a nawet oglądać akt płciowy rodziców, którzy nie starają się niczego ukrywać przed dziećmi.

Stosunek płciowy dzieci lub jego substytut starsi uważają za niewinną rozrywkę; „oni właśnie bawią się w kaita, czyli spółkowanie” — mówią. Kaita jednak musi odbywać się w krzakach, gdyż wszelkie miłości dziecięce w obrębie domu uważane są za coś bardzo niestosownego.

Starsza młodzież swoje praktyki miłosne odprawia w bukumatula, czyli w domu kawalerów. Istnienie takiej instytucji we wsiach trobriandzkich umożliwia kochającym się parom wspólne przebywanie, zapewnia im pomieszczenie i konieczne (choć tylko częściowe) odosobnienie. W bukumatula może przebywać jednocześnie kilka par. Obowiązują tam zasady swoistej przyzwoitości. Jego mieszkańcy nigdy nie urządzają — na przykład — zabaw o charakterze orgiastycznym, a obserwowanie innej pary podczas praktyk miłosnych jest uważane za bardzo niewłaściwe. Pary czekają z kaita do momentu, aż usną ich współtowarzysze lub przestaną wzajemnie zwracać na siebie uwagę. W domu kawalerów odwołują się tylko stosunki poszczególnych zakochanych, nigdy natomiast młodzi nie spożywają tam wspólnie posiłków.

My gorszymy się, gdy niezamężna dziewczyna dzieli łożo z mężczyzną, natomiast Trobriandczycy równie silnie występują przeciwko dzieleniu posiłków, bowiem przynosi to dziewczynie największy wstyd, narusza zasady przyzwoitości i moralności.

TANIE DANIE

gołębie

Gołębie pieczone. Młode gołąbki oskubać, opalić, oczyścić z wnętrzości, wymyć i posolić. Obłożyć plasterkami słoniny, piec w gorącym piekarniku, polewać często masłem lub margaryną. Powinny być gotowe po 30—35 minutach.

Gołębie nadziewane. Łyzkę masła utrzeć z dwoma żółtkami, dodać bułkę, namoczoną w mleku i dobrze wyciśniętą, trochę soli, lyżeczkę zielonej pietruszki i pianę z białek, wymieszać wszystko i nadziać tym gołąbki. Piec tak, jak poprzednie.

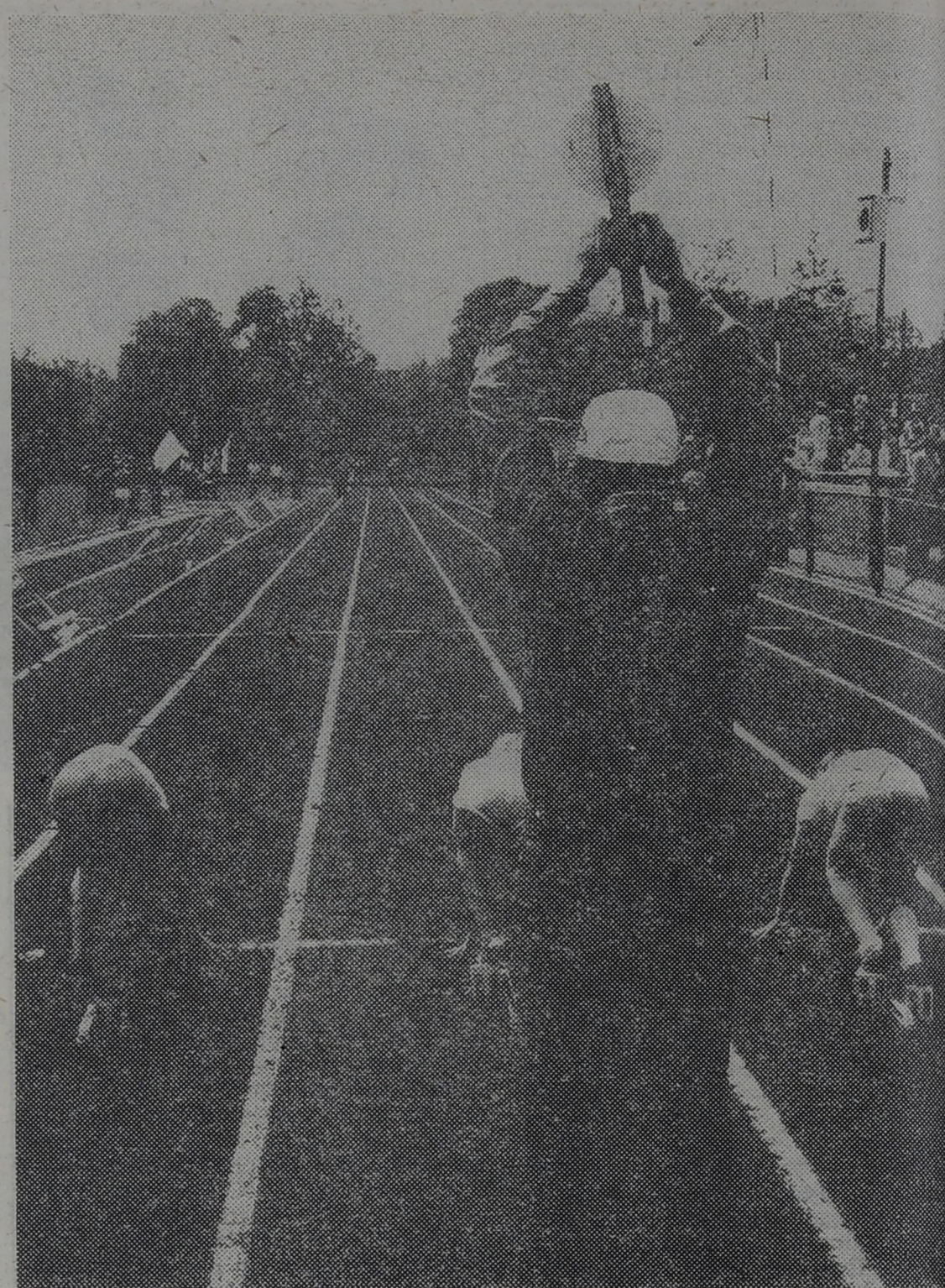
Potrąwka z gołębia. Oczyszczone i nasolone gołąbki obrumienić na maśle wraz z uszatkowaną drobno cebulą, potem podlać bulionem, włożyć trochę pietruszki i dudusić, aż będą miękkie. Wtedy je pokrajać i wyłożyć na półmisek. Sos przecedzić, wymieszać ze śmietaną, zaprawioną mąką, zagotować i zalać nim gołąbki.



Fot. CAF-UPI

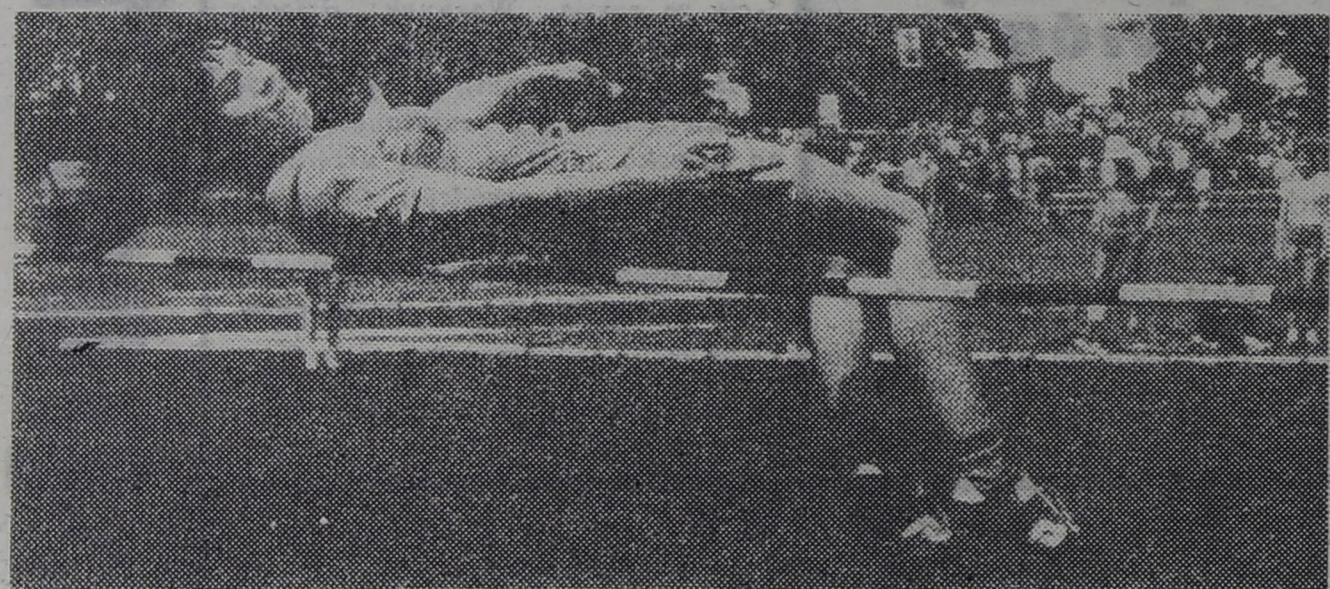
stragan pod 13



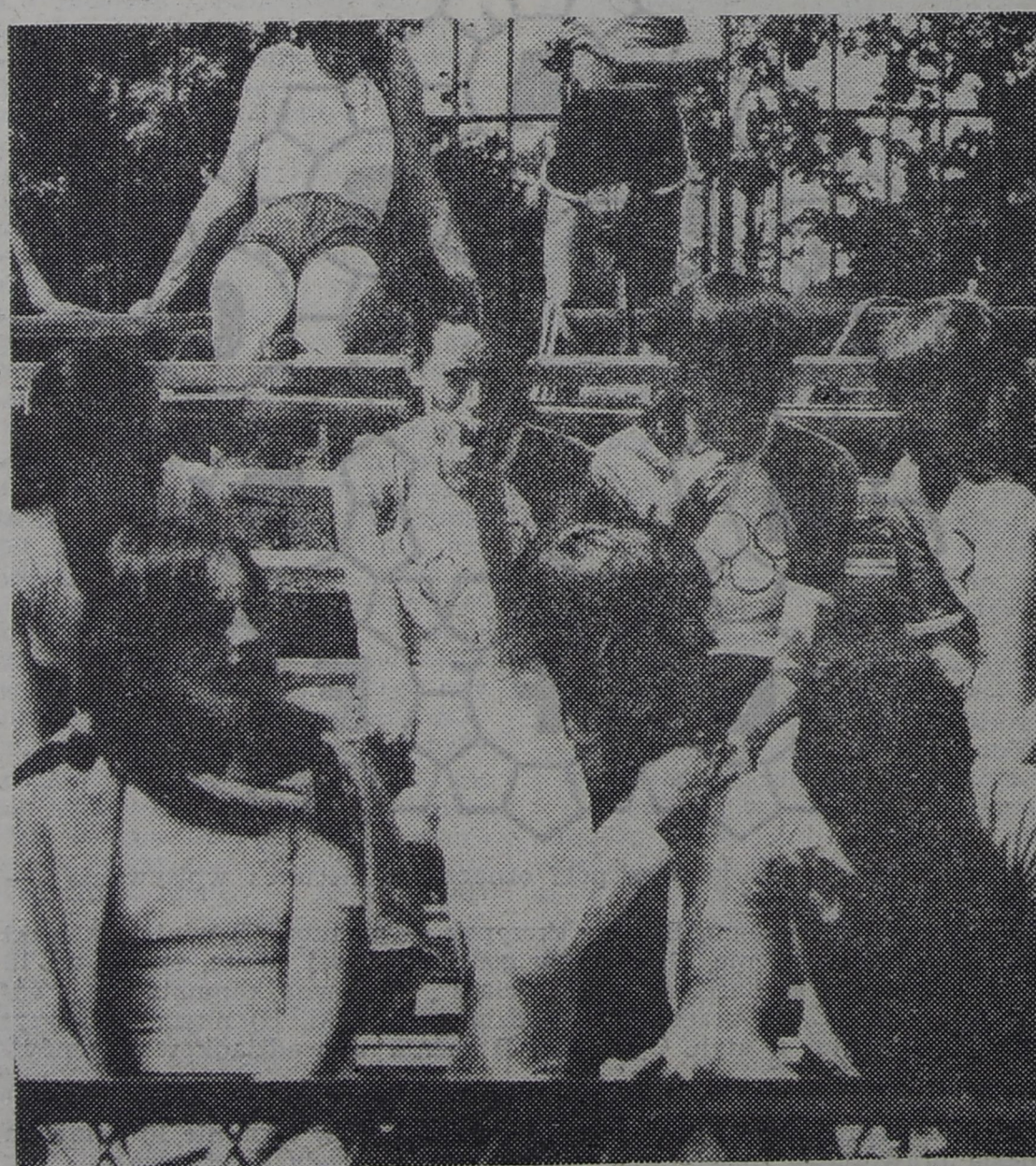


W iście olimpijskiej scenerii przebiegała VII Łomżyńska Olimpiada Młodzieży na nadnarwiańskim stadionie. Zawody rozpoczęło podniesienie flagi narodowej, zapalenie znicza i tradycyjna defilada ekip. Ponad 1100 uczennic i uczniów szkół podstawowych i ponadpodstawowych województwa walczyło o laury na skoczniach, rzutniach i bieżni. Więcej ambicji wykazali uczniowie szkół podstawowych, a ich niektóre wyniki (jak choćby 43,64 metra w rzucie dyskiem Jacka Reginńskiego ze szkoły nr 7 w Łomży) budzą nadzieję na lepszą pozycję łomżyńskiego sportu wyczynowego w rywalizacji krajowej.

Tekst i zdjęcia GABORA LORINCZEGO



olimpiada nadziei



i narzędzi, nawozów, środków ochrony roślin, pasz treściwych. O ile jednak rolnicy skłonni byłiby zrozumieć „obiektywność” (ogólny kryzys, brak importu, sankcje Zachodu, niewłaściwa polityka rolno-żywnościowa itp.) przyczyn takiego stanu rzeczy, jeśli chodzi o środki produkcji, nie mogą pogodzić się jednak z codziennymi uciążliwościami wynikającymi ze złej pracy jednostek mających im służyć. Dotyczy to zwłaszcza — jak wynikało z dyskusji — spółek wodnych, usług i handlu. Mamy nadzieję, że prezesi i dyrektorzy przynajmniej tych gmin nie poprzestaną na tradycyjnym: „Rozumiemy, ale...”. Tym bardziej, że poprawę w tym zakresie osiągnąć można bez dodatkowych nakładów i dewiz. Sami sołtysi życia gospodarczego wsi nie zaktzywizują, choć był to główny temat narady.

► Postrachem okolicznych wsi są watahy bezpańskich psów. Kilka dni temu w Świdrach Awissie zagryzły pasące się ciele.

WASOSZ. Dwie godziny później, nie przewidywał wcześniej ustalony termin, rozpoczął się w pierwszą środę czerwca skup żywa. W tłoku i z gorącą padł tucznik. Mięso udało się uratować — dogorywające zwierzę przewieziono do rzeźni w Szczuczynie.

ZAWADY. Jest to — jak dotąd — jedyna gmina, w której rolnicy nie skarżą się na wyznaczenie ścisłych terminów dostaw żywa. Dlaczego? Po prostu prezes GS-u uzgodnił tę sprawę z rolnikami na zebraniu.

WIZNA. Ocena sytuacji społeczno-politycznej oraz program rozwoju kultury fizycznej były tematem ostatniej sesji Gminnej Rady Narodowej. Radni zastanawiali się nad wizją rozwoju sportu do roku 1990. Na razie perspektywy rysują się miernie, fundusz na ten cel wynosi 10 tysięcy złotych rocznie, a kupić za to można obecnie... sześć piłek nożnych.

► Ważą się losy budowy zespołu budynków w Bronowie: świetlicy, o-

środka zdrowia, pomieszczeń straży pożarnej. Koszty przygotowania dokumentacji opłacili gospodarze z Funduszu Rozwoju Rolnictwa. Problem w tym, czy zechcą pokryć połowę kosztów budowy, które szacuje się na 12 milionów złotych.

KLUKOWO. Mieszkańcy wsi Kustry Podstokowi zakończyli budowę mostu na rzece Nurzec. Obecnie odbywa się zwózka siana.

► Rolnicy Uszy Wielkiej mają nadzieję, że wreszcie na targ do Ciechanowa będą mogli dojechać przystojną drogą. Pomoc w przywróceniu traktu do stanu używalności zadeklarował naczelnik gminy, w której owe targi się odbywają.

► Nie ma jeszcze uzgodnionego stanowiska, czy budowlani OBM na serio już zabrali się do remontu budynku Zasadniczej Szkoły Rolniczej czy tylko na niby. Naczelnik gminy twierdzi, że ruszyli ostro z kopyta. Dyrektor Zbiorewej Szkoły Gminnej jest zdania, że tylko przystąpili do prac i przez dwa tygodnie szukali pasa do... betoniarki.

WYSOKIE MAZOWIECKIE. Około 100 młodych osób pragnie skorzystać z propozycji Zarządu Miejsko-Gminnego ZSMP i przystąpić do budowy domku jednorodzinnego własnymi siłami, przy znacznej pomocy organizacji, mimo kosztów, które sięgają dwóch milionów złotych i obłożenia się pożyczkami przynajmniej na kilkanaście lat. Wysokomazowiecki ZSMP przystąpił już do rozmów w sprawie zakupu u producenta elementów budownictwa jednorodzinnego.

► **SIANOKOSY W PEŁNI.** Żniwa za niecały miesiąc, a chłopu nie dość, że brakuje podstawowego sprzętu, to jeszcze i WZSR ustawia się w poprzek drogi. O napojach chłodzących trudno nawet marzyć w siołce gminy, nie mówiąc już o wsi. Czy pan nie widzi, że jest upał i wszyscy piją bardzo dużo wody — odparła jednemu rolnikowi ekspedientka w Czyżewie. Rolnik był na tyle uprzejmy i nie odpowiedział jej, że codziennie pije ona mleko i zawsze wystarcza.

sprintem przez boiska

Przed tygodniem informowaliśmy, że finałowy pojedynek o puchar Polski (szczebel wojewódzki) rozegrany zostanie w Ciechanowcu. Ostatecznie OZPN w Łomży zmienił decyzję i zespoły „Grom” Czerwony Bór i „Olimpia” Zambrow rozegrają mecz o godzinie 17.00, 9 czerwca na stadionie WOSIR w Kolnie.

O godzinie 17.00 w sobotę rozpocznie się ostatnia kolejka meczów o mistrzostwo klasy okręgowej. Zestawienie par: „Grom” — „Bug”, „Olimpia” — „Narew” II, „Makowianka” — „Mławianka”, „Mazovia” — Ostrovia, ŁKS i „Błękitni” — ZWAR. W Łomży i Zambrowie przedmecz rozegrają juniorzy.

Dobiegają również końca rozgrywki klasy wojewódzkiej seniorów. W powtórnym meczu „Warmia” pokonała

„Orla” 1:0, a w rozegranym awansie w ubiegłą środę pojedynku „Bawelna” wygrała z „Wissą” 5:2. Natomiast w dniu dzisiejszym (9 czerwca) o godz. 17.00 „Ziemowit” podejmie w Nowogrodzie „Victorię” Jedwabne, a „Ruch” gra w Wysockim Mazowieckim z „Warmią” Grajewo. W sobotę ostatnie mecze: „Warmia” — „Smolniki”, „Unia” — „Sparta” i „Victoria” — „Orzeł”.

Mistrzostwo województwa w sezonie 1981/82 w kategorii juniorów — młodszych zdobyli piłkarze „Warmii” Grajewo, trenowani przez Wojciecha Chylińskiego. W rozgrywkach uczestniczyły tylko trzy drużyny. „Warmia” wyprzedziła „Ruch” Wysockie Mazowieckie i „Unię” Ciechanowiec.

Aktualna tabela klasy wojewódzkiej trampkarzy

1. „Warmia” Grajewo	12: 4	20:20
2. „Orzeł” Kolno	12: 6	36:13
3. „Ruch” Wysockie Maz.	12: 6	28: 9
4. „Olimpia” Zambrow	7: 9	20:19
5. ŁKS Łomża	5:13	11:29
6. „Sparta” Szeptetowo	4:14	9:23

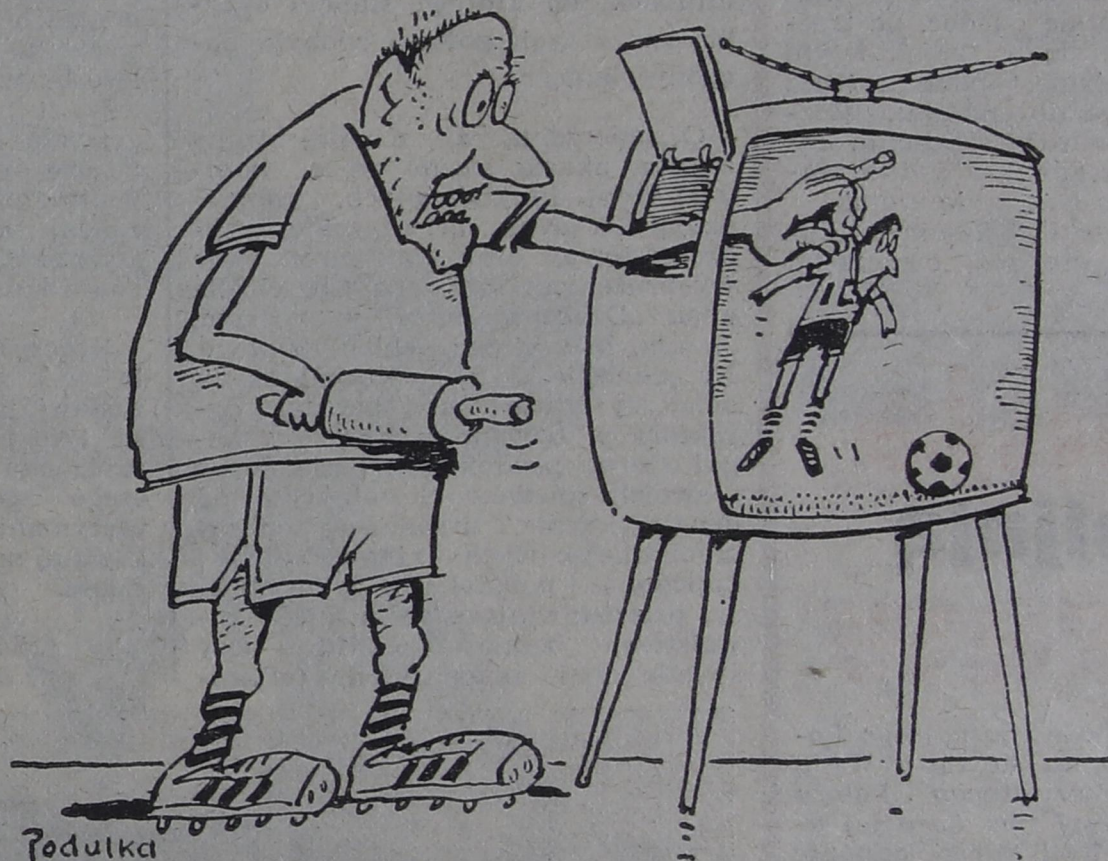
ESPANA '82 w TV

Codziennie w godzinach 17.00—19.10 bezpośrednia relacja z jednego meczu, a wieczorem o 20.45 transmisja z następnego oraz najciekawsze fragmenty trzeciego. Rano o 10.15 kalejdoskop wydarzeń z dnia poprzedniego.

Terminy transmisji z pierwszej części turnieju Espana '82:

Niedziela, 13 VI: 19.10 — uroczystość otwarcia mistrzostw oraz transmisja z meczu Argentyna — Belgia (gr. III); poniedziałek, 14 VI: 17.10 Włochy — Polska (gr. I); 20.45 Brazylia — ZSRR (gr. VI); wtorek, 15 VI: 17.00 Peru — Kamerun (gr. I); 20.45 Węgry — Salwador (gr. III) oraz Szkocja — Nowa Zelandia (gr. VI); środa, 16 VI: 17.00 Anglia — Francja (gr. IV); 20.45 Hiszpania — Honduras (gr. V) i RFN — Algieria (gr. II); czwartek, 17 VI: 17.00 Chile — Austria (gr. II); 20.45 Jugosławia — Irlandia Pn. (gr. V); CSRS — Kuwejt (gr. IV); piątek, 18 VI: 17.00

Włochy — Peru (gr. I); 20.45 Brazylia — Szkocja (gr. VI); Argentyna — Węgry (gr. III); sobota, 19 VI: 17.00 Polska — Kamerun (gr. I); 20.45 Belgia — Salwador (gr. III) i ZSRR — Nowa Zelandia (gr. VI); niedziela, 20 VI: 17.00 Anglia — CSRS (gr. IV); 20.45 Hiszpania — Jugosławia (gr. V) i RFN — Chile (gr. II); poniedziałek, 21 VI: 17.00 Francja — Kuwejt (gr. IV); 20.45 Honduras — Irlandia Pn. (gr. V) i Algieria — Austria (gr. II); wtorek, 22 VI: 17.00 Peru — Polska (gr. I); 20.45 ZSRR — Szkocja (gr. VI) i Belgia — Węgry (gr. III); środa, 23 VI: 17.00 Włochy — Kamerun (gr. I); 20.45 Brazylia — Nowa Zelandia (gr. VI) oraz Argentyna — Salwador (gr. III); czwartek, 24 VI: 17.00 Francja — CSRS (gr. IV); 20.45 Honduras — Jugosławia (gr. V) i Algieria — Chile (gr. II); piątek, 25 VI: 17.00 RFN — Austria (gr. II); 20.45 Hiszpania — Irlandia Pn. (gr. V) oraz Anglia — Kuwejt (gr. IV).



KONKURS BŁYSKAWICZNY ESPANA '82

Atrakcyjne nagrody: piłki z podpisami reprezentantów Polski, porczyki, albumy i książki o tematyce sportowej.

Wytypuj, wytnij i prześlij na adres redakcji.

ESPANA '82

Mistrzostwa Świata w Piłce nożnej

— miejsce naszej reprezentacji w mundialu

— czwórka ścisłych finalistów

— mistrz świata

Nazwisko i imię

Adres

KUPON KONKURSOWY

Termin nadsyłania zgłoszeń do 17 czerwca. Typujemy tylko na kuponach wyciętych z „Kontaktów”. Ilość kuponów nieograniczona.

BIEGLE PISZĄCĄ MASZYNISTKĘ

zatrudni od zaraz redakcja tygodnika „Kontakty”

Zgłaszać się w godz. 9—15; Łomża, ul. Świerczewskiego 7, tel. 42-43, 42-44.

nowości Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Łomży

Pani de Sevigne: „Listy”. Warszawa 1981, PIW. Po dwustu latach popularności we Francji — zaliczane do klasyki francuskiej literatury — „Listy” doczekały się pierwszego polskiego wydania. Szczęście, bo nie zamierzone jako dzieło listy markizy de Sevigne ukazują przekonywujący obraz Francji drugiej połowy literackiej, lecz pisane do bliskich ludzi, w XVII wieku.

„Liś wiatru. Antologia opowiadań Ameryki Środkowej”. Kraków 1982, Wydawnictwo Literackie. Opracowany przez Jerzego Kuhnę wybór opowiadań i nowel autorstwa pisarzy z Gwatemali, Handu-

rasu, Kostaryki, Nikaragui, Panamy i Salwadoru, wśród nich: Miguela Angela Asturiasa i Augusta Monterrosa. Informacje o innych, nie znanych dotąd polskiemu czytelnikowi, autorach znaleźć można w zamieszczonych w książce notkach biograficznych.

Adam Wolff, Ewa Przestrzelska-Feleszko: „Mazowieckie nazwy terenowe do końca XVI wieku”. Warszawa 1982, PWN. Pierwsza publikacja umożliwiająca poznanie najstarszych nazw występujących na Mazowszu. Praca jest ciekawym źródłem informacji dla językoznawców i badaczy przeszłości regionu, czy to z profesji, czy z zamiłowania.

IMPREZY KULTURALNE

Wojewódzki Dom Kultury w Łomży: spotkanie z muzyką Karola Szymanowskiego w Klubie Zabaw Dziecięcych, 12 VI, godz. 11.00.

Miejski Dom Kultury — Dom Srodowisk Twórczych w Łomży: pokaz slajdów (w Klubie—Galerii), 9 VI, godz. 19.00; Dyskusyjny Klub Filmowy „To Tu” (w Klubie „Stale Zajęcie”), 11 VI, godz. 18.00; Klub Dobrej Płyty — Elvis Presley (w Klubie—Galerii), 15 VI, godz. 19.00.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Grajewie: „Czterech braci Rzemioł” — bajka w wykonaniu teatru kukielkowego ze Słucza, 9 VI, godz. 9.00 i 10.30; dyskoteka, 12 VI, godz. 17.00.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Wysockim Mazowieckim: „Wieczorynka” — program estrady dziecięcej z Białogostku, 11 VI, godz. 15.30 i 17.00.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Zambrowie: Wojewódzki Dzień Działacza Kultury (w programie — występ zespołu piosenki i tańca, zespołu recytatorskiego oraz zespołu śpiewaczk ludowych z Andzieliwa), 9 VI, godz. 11.00.

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Nowogrodzie: dyskoteka dla młodzieży, 9 VI, godz. 20.00.

ogłoszenia drobne

KUPIE bony PKO, Łomża, ul. Moniuszki 6/17 w godzinach 8—11. K-3074-8
WANNE żeliwną 140 — zamiennie na większą lub kupię. Franciszek Sipowski, Łomża, ul. Miła 12, tel. 53-38. p 835-1
BIURO Matrymonialne „Piast”, 84-300 Lebork, skrytka pocztowa 22 — poleca usługi. p 836-1

KONTAKTY

kartka z kalendarza

Sto lat temu, w 1882 r., powstała szczuczynska Straż Ogniowa. Piętnastu ochotników, podzielonym na trzy oddziały (toporników, obsługi sikawek, dowożących wodę), przewodził Roman Wilczyński, właściciel miejscowej apteki. Na wyposażenie strażaków składały się: dwie sikawki, pięć odcinków węża, cztery beczkowozy i wiadra. Z czasem pojawiły się jednolite mundury, pasy parczane, hełmy. Na jubileusz dziesięciolecia otrzymali pierwszy sztandar. Uroczystości uświetniła własna, siedmioosobowa orkiestra pod batutą Apolinarego Szulewskiego, stolarza z zawodu, który grał na trąbce i paru innych instrumentach muzycznych, a w czasie świąt kościelnych „bił po mistrzowsku we wspaniałe huczące kotły”.

jak od much uchronić konie

Pisma gospodarcze podają stary, a przecież dotąd nie znany środek uchronienia koni od tej plagi. Na kilka garści świeżych liści orzecha włoskiego leje się około 1,5 litra zimnej wody, w zamkniętym naczyniu zostawia się na noc, na trzeci dzień gotuje się w zamkniętej kotle przez godzinę, poczem rzeczą całą gotową jest do użytku. Rozczynem tym smaruje się konia całego za pomocą gąbki, a żadna mucha z pewnością go się nie czepi. („*Narwiański kalendarz ilustrowany na rok zwyczajny 1885*”)

żmije omijają Narew

Narew ma „wodę czarnawego koloru, po zmieszaniu się zaś z Wisłą długo jeszcze pierwotnego koloru nie traci, co [jest] tym bardziej uwagi godne, że wód Narwi jadowite stwory nie znoszą. Poszczególne żmije, skoro tylko płynąc dotrą do wód jej, dotychczas przez długą przestrzeń podczepione pod tratwy, oddalają się wydając syk, jakoby uciekały od zgubnej dla siebie wody i wyrzekały się żeglowności pod tratwami, co nie tylko przybyśłów, lecz i mieszkańców tych stron uprawia w zadumienie”.

(Jan Długosz: „*Kroniki sławnego Królestwa Polskiego*”, księga pierwsza, Warszawa 1961)

Reprodukcje: Ryszard Piechociński

Rzeński parobczak imieniem Jaśko spotkał nocą nad Narwią zjawę — królową Bonę, pokutującą tu ciężko za swe grzechy. W zamian za piękną grę zjawy wyratowała dwukrotnie parobczaka z opresji.

Odsłona III

Zdarzyło się nowe, gorsze sto razy nieszczęście: zakochał się biedaczysko. W dodatku lichy go skusiło zakochać się w Małgoli, córce młynarzowej z łomżyńskiego przedmieścia. Panna młynarzówna nie szczędziła Jaśkowi nawet czułych spojrzeń i uśmiechów, ale ten, nie w ciemie bity, wiedział dobrze, że to wszystko kobieca obtuda i że go ulubienica sto razy odda za pierwszego lepszego wiercipiętę z miasta.

STARY GRZEGORZ GAJOWY (ostrzegawczo): — Ej Jasie, Jasie! Niechaj ty młynarzównę? Co ci za lichy w łeb wlało? Gdyby ci ona nawet kochała, gdybyś się z nią ożenił, choćby ci też i nalepszą żoną była, to wierz staremu, kością w gardle stanęliby ci tatus i mamusia, nadej bracia i siostry, bo to wszystko takie głupie, żeby się miało za coś lepszego od ciebie. Daj jej pokój...



przekazy pamięci

Rodacy! Którzyśmy się doczekali szczęścia, odzyskać kochaną Ojczyznę, i to, że tego szczęścia nie poznajemy, i to, że po odrodzeniu się naszym narażeni jesteśmy na rozmaite dolegliwości, szkutek jest naszego nieoświecenia, naszemu ciemnoty w drodze życia.

Jakub Falkowski, 1811 r.

Zacofanie nasze zanadto zostawiło nas w tyle, aby mógł dziś ktokolwiek być obojętny w podźwiganiu się z ciemnoty.

Zygmunt Gloger, 1874 r.

czar wspomnień

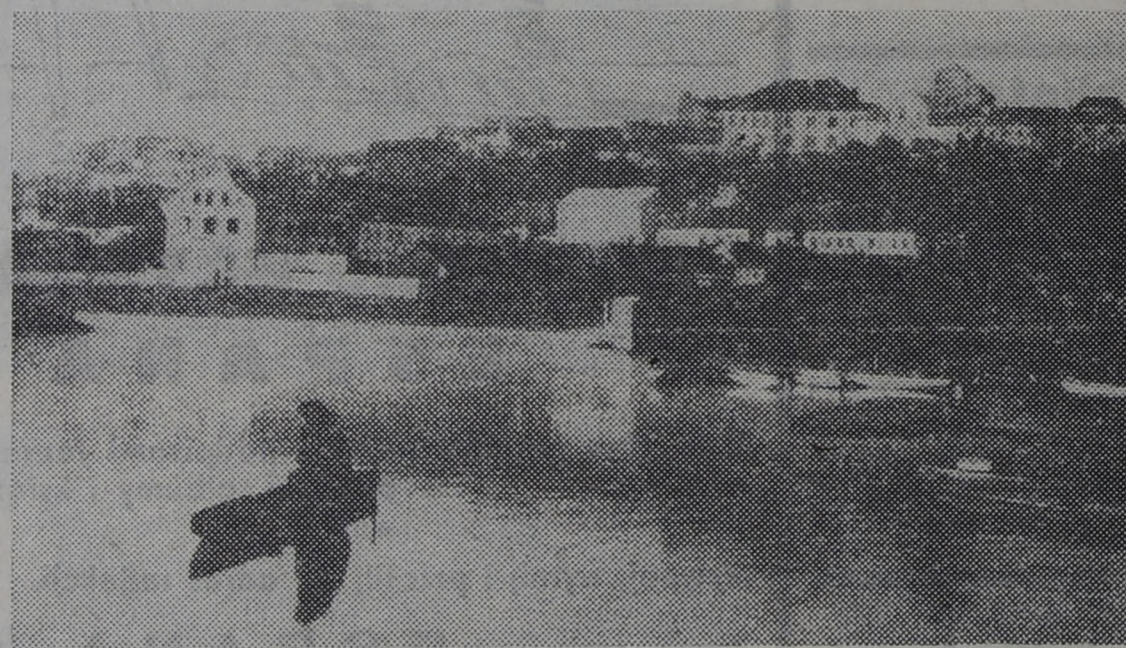
Zabawę rozpoczęły o godzinie 8-mej wieczorem wyścigi wiosłarskie. Zwycięskie osady otrzymały z rąk p. gubernatora barona Korfa srebrne pamiątkowe żetony. Po regatach nastąpił wyścig pływacki na czółnach, do którego stanęło 6 rybaków: z tych połowa zdobyła nagrody pieniężne.

O zmierzchu, z drugiej strony miasta, ukazał się na rzece, korowod łodzi iluminowanych, poprzedzających dwie artystycznie przybrane krypty oraz transparent z wyobrażeniem św. Jana Chrzciciela obok „Dobroczyńności” w postaci Anioła, podającego chleb dzieciom. Na jednej z krypt personel naszej ochotczej „Lutni” pod batutą dyrektora p. Lewandowskiego wykonał szereg produkcji orkiestrowych i swoich śpiewów chóralnych; na drugiej krypte, urządzonej staraniem miejscowych rzemieślników i kupców [...] oglądaliśmy żywe obrazy, przedstawiające rzemiosła: kowalstwo, bednarstwo itd. przy świetle ogni bengalskich (ofiarno-

wanych bezinteresownie przez p. Bratza, aptekarza). W tym samym czasie z prawego brzegu Narwi, z jednej z krypt, puszczano na przemian rakiety i inne fajerwerki, których dostarczył po cenie kosztu p. Fr. Tuszowski, asesor farmacji. Na brzegach Narwi płonęły sobótki, a wszystko razem złożyło się na całość barwną i zajmującą. Dodać należy, że podczas całej zabawy przegrywała orkiestra wojskowa, na moście były sprzedawane wianki do puszczenia na wodę, upieczone z zieleni i kwiatów przez pensjonariuszy miejscowego przytułku dla starców i kalek. [...]

Uroczystość „Wianków” zakończyła się o godzinie 11-ej w nocy, pozostawiając wrażenie milej rozrywki, tym przyjemniejszej, że połączyła ona wszystkie warstwy naszego społeczeństwa pod hasłem utrzymania pięknej tradycji, przekazanej nam przez zamierchłą przeszłość.

(„*Echa Płockie i Łomżyńskie*” nr 54 z 23 czerwca 1899 r.)



Jaś Grajek i królowa Bona

Odsłona IV

I tym razem Bona przyjęła Jasia łaskawie, pytając, czego potrzebuje. JASKO (klaniając się do ziemi): — O wielmożna królowo, a dyć to jeszcze nie koniec utrapieniu memu! Prawdać, Mołgola mnie kocha, choć by w ogień za mną lecieć, ale cóż, kiedy jej ojcowie wysmiali się jeno ze załotów moich, a młynarz zaklął się, że nie wyda jej inak, jak za gospodarza. Użalże się ty, jasna panie!

ZJAWA: — Z duszy serca miły Janku, jakim przyrzekła, chętnie ci pomogę. Mów, jak wiele ci potrzeba, ale pamiętaj, mów prawdę, nie żądaj więcej nad słuszną potrzebę, bo łakomstwo ciężki grzech i nie zostaje bez kary.

JASKO: — A niech mnie Bóg ciężko skarze, jeśli choć o półgroszek za wiele powiem! Oto właśnie o granicę jeno od nas jest na sprzedaż gospodarstwo, po kłodzieju Jakubie, co w łonskie lato utonął, za okrągłe czterysta talarów.

wiosenne koziółki

Przesądów w ogóle spisaliśmy kilka secin w różnych stronach kraju, głównie jednak w okolicach m. Tykocina i rzeki Narwi.

(Zygmunt Gloger)

● Przed siebą nie można sprzedać ani ziarenka, bo ze sprzedawanym w tym czasie zbożem plon z domu ucieka.

● Żeby zboża nie jadły wróble na pniu w polu, należy je siać w taki dzień w tygodniu, w jaki wypada wigilia św. Walentego. Inni powiadają o starym a skuteczniejszym sposobie, polegającym na przesypaniu ziarna przez piastę od koła. Jeszcze inni zalecają, aby siewca potarł dłoń okrasą święconą na Wielkanoc.

● Cenę zboża wróży bąk (ptak błotny), który ile razy odezwie się bez przerwy w letni wieczór, po tyle złotych będzie ówierć pszenicy w roku następnym.

● Gdzie obozowali Szwedzi, tam na roli wyrastały gęste ciernie; gdzie zaś pewne inne wojsko nieprzyjacielskie, tam dotąd niczym nie wypłeniony corocznie odrasta oset.

● Chłopcy i dziewczęta usłyszawszy pierwszy grzmot na wiosnę, wyracają koziółki, aby krzyż nie bolał od nachylania się przy żniwie.

● Wszystkie ważniejsze prace w polu (a szczególnie żniwo) rozpoczęte w sobotę idą spieszenie i pomyślnie, w poniedziałek zaś przeciwnie.

„gapowicz”

Teodor Duracz, znany obrońca w procesach politycznych, wybrał się na początku lat dwudziestych do Łomży. Pociąg był już tak przeładowany, że kasa zaprzestała sprzedaży biletów. Kupił więc Duracz peronówkę i na buforach przejechał trasę z Warszawy do Łomży.

„Koniec tej wyprawy był zgola humorystyczny. Na łomżyńskiej stacji kontroler sprawdzający bilety przy wyjściu nie zauważył, że Teodor ma niewłaściwy bilet i przepuścił go. Przy kasach panował tłok, a Teodor był bardzo głodny. Poszedł więc do miasta na obiad, a dopiero potem wrócił, by uregulować należność za przejazd. Kasjer początkowo w ogóle nie mógł zrozumieć. Jaki bilet? Jaki przejazd? Na co mu u Boga Ojca bilet z Warszawy do Łomży, skoro już jest w tej Łomży. Nagle rozochocił się: — A skoroś pan taki frajer, płac pan karę za przejazd na gape.”

Teodor protestuje, wyjaśnia, w czym rzecz: nie myślał o jeździe na gape. Ale jak o tym przekonać tępego biurokrate? I chcąc nie chcąc musiał zapłacić. Ale przez długie lata (jako że nie lubił wydatków nieuzasadnionych) nie mógł owemu kasjerowi tego wybaczyć.”

(Romana Duraczowa: „Teodor Duracz — jakim go widzę”)

ZJAWA (zapraszając do lochu): — Idźże, ale nie zapomnij, com cię ostrzegala; nie tykaj nic, ani na włos więcej, bobyś to drogo przepłacił.

Jaśko odliczył czterysta bitych talarów i już miał wyjść, ale przekłete biesy, co skarbowych pilnowały, uradziły się na Jasiową zgubę i patrzeć! Wiedziały psie wiary, czym skusił Mazur! Schyliwszy się grajek zobaczył parę nowiusieńskich butów, z zawijanymi cholewami, wysmarowanych stoniną, że aż świeciły, z calowymi u obcasów podkówkami. Czego nie mogło srebro i złoto, tego dokazały buty.

Finalu łatwo się domyśleć. Niedaleko ubiegł Jaśko. Diabelskie buty zaczęły palić go w nogi i nieszczęsny grajek padł na ziemię, wijąc się jak wąż wśród piekielnych męczarni. Na całe życie został kaleką i żebrakiem, a Małgosia od żalu i zgryzoty rychło Bogu ducha oddała. A wszystko przez tę tradycyjną mazurską pazerność na buty.

(Roman Zmorski: „Podania i baśnie ludu”, Warszawa 1956; Donata Godlewska: „Dzieje Łomży...”, Warszawa 1962)

ŁOMŻYŃSKIE